

 HARLEQUIN[®]
TM

ŚWIATOWE ŻYCIE[®]

EXTRA



BRAZYLIJSKA
PRZYGODA

SUSAN STEPHENS

Susan Stephens

Brazylijska przygoda

Tłumaczenie:
Maria Nowak

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Brazylia.

Już sam dźwięk tego słowa wydawał jej się niezwykły. Budził dreszcz jak tajemnica, która fascynuje i uwodzi, napawając jednocześnie dziwnym niepokojem. Od dawna widywała w snach ten daleki kraj, który leżał po drugiej stronie globu niż jej rodzinna Szkocja. Ale nie przypuszczała, że kiedykolwiek postawi stopy na brazylijskiej ziemi. Podróże przez pół świata były kosztowne i wymagały czasu, a ona po pierwsze była ciągle zajęta, a po drugie - nie zamierzała szastać pieniędzmi. Czas poświęcała na studia, a każdy zarobiony grosz inwestowała w Rottingdean. Miała tylko jedno marzenie - przywrócić dawną świetność rezydencji, którą poprzednie pokolenie doprowadziło do niemal kompletnej ruiny.

Młoda lady Elizabeth Fane z całą pewnością nie wdała się w rodziców, bezprzykładnych utracjuszy. Uważała się za osobę pragmatyczną i twardo stąpającą po ziemi. A jednak... w chwilach zapomnienia śniła o Brazylii, nieznanej, barwnej i gorącej krainie.

Przymknęła oczy i z westchnieniem odchyliła głowę na miękkie oparcie samolotowego fotela. Ile to już lat bawiła się myślą, że jednak, pomimo wszystko, ten szalony sen się spełni i pewnego dnia zobaczy Brazylię? Dwanaście. Dwanaście lat minęło od dnia, kiedy poznała pewnego Brazylijczyka. I zakochała się w nim na śmierć i życie, szaloną, platonyczną miłością.

Chico Fernandez przyjechał do Rottingdean z brazylijską drużyną polo, żeby trenować pod okiem słynnego Eduarda Corteza. Chłopak był oczkiem w głowie trenera, który wróżył mu wielką przyszłość w dowolnym hippicznym sporcie. I nic dziwnego - osiemnastoletni Chico, choć miał w zwyczaju na ludzi łypać wrogo spode łba, zawsze zamknięty w sobie i uparcie milczący, przy koniach rozkwitał. Potrafił poruszać się płynnie i bezszelestnie, przemawiać cicho i miękko, z cierpliwością, która wydawała się niewyczerpana. Był w stanie obłaskawić nawet najbardziej narowistego ogiera, a najleniwszą kobyłę skłonić do dzikiego galopu. W pełni zasługiwał na miano zaklinacza koni.

Milkiwość Chica zupełnie nie przeszkadzała piętnastoletniej wówczas Elizabeth. Ona też wolała towarzystwo koni niż ludzi, zwłaszcza kiedy chodziło o jej własnych rodziców i hordy gości, których przyjmowali w rezydencji Rottingdean, gdzie trwała w zasadzie nieustająca impreza, suto zakrapiana alkoholem. Zresztą Liz nie miała wielkiego wyboru. Choć kończyła już gimnazjum, wciąż traktowano ją jak dziecko, zabraniając wstępu na salony, gdzie bawili się dorośli. Miała wracać punktualnie ze szkoły, iść do siebie, odrabiać lekcje i nie przeszkadzać. Umarłaby z nudów albo oszalała z frustracji i samotności... gdyby nie konie.

Rottingdean od dwóch wieków słynęło z hodowli koni, specjalnie dobieranych tak, żeby sprostać trudnym wymogom gry w polo. Wierzchowce musiały być zrywne, lecz nie płochliwe. Pełne temperamentu, ale idealnie posłuszne, reagujące na naj-

łżejsze skinienie jeźdźca. W czasach młodości Catherine, babki Elizabeth, szkocka posiadłość Fane'ów była istną mekką dla wszystkich, którzy liczyli się w świecie polo - zarówno sportowców, jak i hodowców. Niestety, lady Catherine wcześniej owdowiała i choć robiła, co mogła, żeby jak najlepiej wychować swojego jedynaka, z bólem serca musiała przyznać się do porażki. Syn Catherine, Artur, wyrósł na zadufanego w sobie bubka, który zdawał się święcie wierzyć w słuszność maksymy głoszącej, że człowiekowi szlachetnie urodzonemu praca nie przystoi. Nie obchodził go los rodzinnej stadniny; interesował się tylko dochodami, jakie przynosiła. Lubił wydawać pieniądze na alkohol i rozrywki. Myślał tylko o zabawie. Pod tym względem on i jego małżonka dobrali się wręcz idealnie. Blondwłosa Serena nade wszystko kochała zakupy, drogie kreacje i biżuterię, nie gardziła też dobrą zabawą, a najlepiej się bawiła, kiedy była pod wpływem używek. Nigdy też nie kryła, że macierzyństwo jest dla niej prawdziwym dopustem, ciężarem, który dźwigała z najwyższym trudem. Nigdy nie chciała mieć dzieci, ale kiedy zaszła w ciążę, Artur nie zgodził się, żeby usunęła. Mało tego, zaczął nalegać na ślub, opowiadając dyrdymały o tym, że zawsze pragnął mieć syna, dziedzica majątku, nazwiska i tytułu. Serena oświadczyły skwapliwie przyjęła, uznawszy, że tytuł lady i nazwisko Fane to prawdziwa gratka. A potem zacisnęła zęby i jakoś dotrwała do końca ciąży. Kiedy jednak na świat przyszedł chudy, rozwrzeszczany noworodek płci żeńskiej, ojcowski zapal Artura zgasł tak prędko, jak się pojawił. Serena wyszła ze szpitala i oddała dziecko piastunkom, uznając swój obowiązek za spełniony. W miarę jak córka rosła, rodzicielka odpychała ją od siebie coraz bardziej. W tych rzadkich chwilach, które rodzina spędzała razem, Elizabeth miała przykazane, żeby do matki zwracać się po imieniu. W przeciwnym wypadku Serena dąsała się jak primadonna, twierdząc, że określenie „mama” okropnie ją postarza. Nastoletniej, nieśmiałej Liz nie przyszło do głowy, że Serena, która najlepsze lata miała już za sobą, zaczyna być o nią zwyczajnie zazdrosna. Nie mogła też wiedzieć, że trzymając ją na dystans, matka robi jej prawdziwą przysługę. Być może jedyną, jaką kiedykolwiek jej wyświadczyła, poza tym oczywiście, że wydała ją na świat.

Liz każdą wolną chwilę spędzała więc w stajniach albo na padoku. Konie, w przeciwieństwie do rodziców, po prostu ją lubiły. Kiedy tylko się zbliżała, wychylały łby z boksów i rżały przyjaźnie. Dziewczyna uwielbiała delikatny dotyk jedwabistych pysków o wrażliwych chrapach, gdy trącały ją na powitanie, rżąc cicho i dmuchając ciepłym oddechem w jej szyję. Szybko odkryła, że rozumie te zwierzęta bezbłędnie, niemalże instynktownie, jak gdyby mówiła ich językiem. Potrafiła wyczuć ich nastroje, uspokoić, kiedy się płoszyły, albo sprawić, żeby dawały upust radosnemu podnieceniu w szalonym galopie. Choć była szczuplutka i drobna, mogła bez trudu skłonić każdego konia do idealnego posłuszeństwa. Gdyby ktoś spytał, na czym polega jej sekret, powiedziałaaby, że nigdy nawet nie próbuje zdominować wierzchowca, siłą zmusić do karności. Jedyne, co robi, to stara się wzbudzić w nim całkowite zaufanie, a zwierzę doskonale rozumie jej intencje i odwdzięcza się, ochoczo z nią współdziałając.

Ale nikt jej nie pytał, bo była cichą, płochliwą smarkulą, która przemykała się pod ścianami i starała nie wchodzić w drogę stajennym ani dżokejom. Pozwalano jej jeździć, kiedy nie było komu objeżdżać koni, a zdarzało się to coraz częściej, w miarę

jak zaczynało brakować funduszy na utrzymanie stadniny. Nikogo nieinteresowało, jak Liz wykonuje swoje zadanie – dobrze czy zaledwie miernie. Każdy martwił się tylko o to, czy pod koniec miesiąca znajdą się pieniądze na wypłatę.

Wizyta brazylijskiej drużyny polo była – o czym Elizabeth nie wiedziała – jedną z ostatnich prób wskrzeszenia świetności Rottingdean, jaką podjęła Catherine. Współpraca z Eduardem, byłym mistrzem polo i światowej sławy trenerem, miała przynieść rozgłos szkockiej stadninie, co ożywiłoby kontakty i zapewniło przyływ pieniędzy. A pieniądze były potrzebne w Rottingdean jak powietrze. Jeśli ich za-braknie, stadnina, w której przychodziły na świat najlepsze wierzchowce do gry w polo, zamieni się w zwykłą stajnię, gdzie konie, które zasługiwały na lepszy los, dożyją swoich dni jak zwykle, pocziwe szkapy. A potem Rottingdean, siedziba rodu Fane’ów od siedmiu pokoleń, popadnie w ruinę – o ile wcześniej nie zostanie zlicytowana za długi.

Liz nie wtajemniczano wtedy w te sprawy. Rodzice nie interesowali się ani trochę przyszłością Rottingdean, żyjąc zgodnie z zasadą „po nas choćby i potop”. Starsza pani Fane robiła co mogła, żeby uratować rezydencję i stadninę przed ostateczną katastrofą, ale sama już od dawna nie mieszkała w Rottingdean. Tryb życia syna i synowej zupełnie jej nie odpowiadał, wołała więc przenieść się do małej willi na przedmieściach Edynburga. Wnuczkę bardzo kochała, ale nie chciała jej obciążać zmartwieniami dorosłych. Mała Liz miała i bez tego smutne dzieciństwo. Chodziła do szkoły w pobliskim miasteczku, a po lekcjach wracała samotnie do domu. Dzieciaki z miasteczka i okolicznych wiosek w najlepszym wypadku trzymały się od niej z daleka. Kiedy miała mniej szczęścia, wołały za nią „jaśnie panienka” i, rechocząc, gięły się, parodiując niskie ukłony. Liz umierała z zażenowania, ale nie miała za złe kolegom. Powszechny ostracyzm zawdzięczała matce, która pojawiła się w szkole zaraz po tym, gdy Liz rozpoczęła naukę w gimnazjum. Ubrana w futro ze srebrnych lisów, Serena wmaszerowała do sali krokiem nieco chwiejnym i, nie zważając na to, że lekcja się jeszcze nie skończyła, piskliwym głosem zażądała rozmowy z wychowawcą. Młodziutka panna Raintree, matematyczka i wychowawczyni klasy pierwszej, zerwała się z za biurka, spłoszona nagłym wtargnięciem nieznanej, wystrojonej blond damy.

– Jestem lady Fane, matka Elizabeth. – Serena teatralnym gestem wskazała Liz, która kulila się w ławce, czerwona ze wstydu. – Musi pani wiedzieć, że moja córka jest hrabianką i powinna pobierać nauki w prywatnej szkole dla dzieci z dobrych domów. Niestety, na razie nie mamy takiej możliwości, więc musi chodzić tutaj. – W tym miejscu lady westchnęła z rezygnacją i obrzuciła salę lekcyjną wzrokiem pełnym pogardy. – Liczę, że zapewni pani Elizabeth odpowiednie traktowanie i zadba o to, żeby nie była zmuszona zadawać się z pospółstwem – dokończyła, krzywiąc usta z odrazą.

Choć od tamtej chwili minęło lat piętnaście, Liz doskonale pamiętała każde słowo, wypowiedziane nieco zbyt głośno przez wyraźnie podchmieloną matkę. Pamiętała szmer, jaki przetoczył się przez klasę, kiedy trzydziścioro nastolatków z trudem tłumiło wybuch śmiechu. Ale nie była w stanie przypomnieć sobie, jak skończyła się ta scena, bo przetrwała ją z opuszczoną głową i zaciśniętymi powiekami, marząc tylko o tym, żeby móc zapaść się pod ziemię. Począwszy od tamtego dnia, zawsze

siedziała w ławce sama, bo nikt nie chciał zająć miejsca obok „jaśnie panienki”. Minał rok, a potem drugi, ale sytuacja nie uległa poprawie, może po części dlatego, że Liz nie próbowała niczego zmienić. Po prostu poddała się losowi. Rodzice ignorowali ją, odkąd pamiętała, więc odrzucenie traktowała jako rzecz normalną, choć przykrą. Na szczęście były konie, i do nich każdego popołudnia pędziła jak na skrzydłach. Nie zdawała sobie sprawy, że ma wybitny talent jeździecki. Wiedziała tylko, że kiedy dosiada galopującego wierzchowca, naprawdę czuje, że żyje.

Aż wreszcie, pewnego dnia, do Rottingdean przyjechali Brazylijczycy – szpakowaty, poważny Eduardo, ośmiu graczy reprezentacji narodowej – dwudziestokilkuletnich silnych mężczyzn, którzy intensywnie trenowali od świtu, a po zachodzie słońca równie intensywnie imprezowali, i Chico, najmłodszy z grupy, osiemnastolatek, który dopiero co zdał maturę i szkolił się, żeby w kolejnym sezonie zacząć grać profesjonalnie. Liz z zachwytem przyglądała się treningom prawdziwej drużyny polo, chłonęła widok ludzi i koni współdziałających w idealnej harmonii podczas błyskawicznych ataków, płynnych zwodów czy bezbłędnych akcji obrony. Kiedy miało się ku wieczorowi, gracze schodzili z boiska, oddawali konie w ręce stajennych i spieszyli do rezydencji, gdzie byli zakwaterowani. Państwu Fane było w to graj, że ośmiu przystojnych Brazylijczyków chciało brać udział w zabawie, która na hrabiowskich salonach trwała niemal non stop, a młodym sportowcom nie trzeba było dwa razy powtarzać zaproszenia. Tylko Chico Fernandez nie sprawiał wrażenia zainteresowanego tym, co działo się w rezydencji. Z boiska schodził ostatni, nawoływania starszych kolegów zbywał wzruszeniem ramion i szedł do stajni. Sam zajmował się końmi po treningu, chociaż było to obowiązkiem zatrudnionych w Rottingdean stajennych. Ale on po prostu to lubił, więc wycierał starannie mokrą od potu końską sierść i szczotkował ją, aż błyszczała, masował spracowane mięśnie zwierząt, delikatnie sprawdzał, czy żaden z wierzchowców nie doznał kontuzji, a jeśli tak się stało, przykładał łagodzące kompresy i bandażował obolałe miejsca. Mijał dzień za dniem, wieczór za wieczorem, a młody Brazylijczyk zdawał się w ogóle nie zauważać rudowłosej, szczupłutkiej nastolatki, która w milczeniu śledziła każdy jego gest, nie kryjąc zafascynowania.

– Nieźle jeździsz konno.

To były pierwsze słowa, jakie od niego usłyszała. Wraciała właśnie z padoku, prowadząc młodego ogiera, dwulatka, który dopiero uczył się chodzić pod siodłem. Aż drgnęła, kiedy odezwał się cicho, tuż za jej plecami. Jaki piękny głos, pomyślała uśmiechając się bezwiednie. Zauroczył ją szorstki, lekko schrypnięty ton i obcy akcent, śpiewny i twardy zarazem. Spodobała jej się niewymuszona szczerość, którą wyraźnie usłyszała w nonszalancko rzuconej uwadze. A już najbardziej zachwyciło ją to, co powiedział.

„Nieźle jeździsz konno”.

Zauważył ją. Docenił.

– Dzięki za komplement – zarumieniła się Liz.

– To nie żaden komplement – wzruszył ramionami Chico.

Tak zaczęła się przyjaźń piętnastoletniej lady Elizabeth i cztery lata od niej starszego, dzikiego chłopaka z brazylijskiej faweli. Różniło ich w zasadzie wszystko. Ona była dziewczyną o cerze białej jak mleko i jasnej twarzy otoczonej chmurą

ogniście rudych loków, on chłopakiem o złocistej skórze i odziedziczonych po indiańskich przodkach skośnych oczach oraz gęstej czuprynie włosów tak czarnych, że wydawały się granatowe. Ona urodziła się w bogactwie, on w biedzie. Ona była Szkotką, arystokratką, mieszkała w pałacu, mówiła po angielsku, niemiecku i francusku, a on przyszedł na świat w slumsach, mówił slangiem – mieszaniną portugalskiego i dialektów indiańskich. Tylko dzięki temu, że naprawdę szybko się uczył, zdążył już poznać angielski na tyle, żeby móc zamienić z nią parę zdań. Ale jej nie przeszkadzał fakt, że ciemnooki chłopak dziwnie wymawiał angielskie słowa. Kiedy patrzyła, jak zajmuje się końmi, miała wrażenie, że zna go od zawsze. A gdy obserwowała, jak dosiadał najbardziej narowistych rumaków i skłaniał je do posłuszeństwa, ot tak, bez żadnego widocznego wysiłku, jej duszę i serce przepełniała niemal ekstaza.

Szybko okazało się, że on unika przebywania w rezydencji równie zdecydowanie jak ona. Kiedy skończyła się szkoła, a zaczęły wakacje, Liz całe dni spędzała w stajni i na padoku, czekając, aż Chico skończy trening. Popołudnia i wieczory spędzali zawsze razem, przy koniach. On zadawała mu tysiące pytań, a on zdradzał jej tajniki treningów drużyny polo. On kaleczył angielski, a ona z zapałem poprawiała jego wymowę i uczyła nowych słówek. Wystarczyło kilka dni, żeby tych dwoje obcych sobie nastolatków stało się nierozłącznymi przyjaciółmi.

Nastaly najpiękniejsze chwile w życiu Elizabeth. Letnie dni wypełnione radosnym oczekiwaniem, śmiechem, podekscytowaniem i czystym szczęściem. Dni pełne swobodnej wolności, kiedy ona i Chico galopowali po nagranych słońcem trawiastych wzgórzach, a kiedy słońce już zaszło, siadywali na poddaszu stajni, na belach słomy, i, popijając lemoniadę, albo – o zgrozo! – piwo podkradzione koniuszkiem, rozmawiali o wszystkim i o niczym, wpatrując się w gwiazdy, które pojawiały się na ciemniejącym niebie. Liz bardzo niechętnie żegnała się z Chikiem i szła do domu. Wiedziała, że nikt tam na nią nie czeka.

A potem nadszedł moment, kiedy wszystko się zawaliło. Dotąd nie rozumiała, co się wtedy stało, choć nieskończoną ilość razy rozpamiętywała tamte wydarzenia; każdy najmniejszy szczegół. Był wieczór, kiedy w rezydencji zorganizowano szczególnie huczną imprezę. Chico, jak zwykle, został w stajni, ale tym razem starsi kole-dzy z drużyny nie dali mu spokoju. Przyszli i oświadczyli stanowczo, że zabierają go ze sobą. Wymówek nie chcieli słuchać.

– Pani domu chce koniecznie, żebyś przyszedł. Powiedziała, że bez ciebie nie będzie dobrej zabawy – rechotali, poklepując Chica po plecach. Nietrudno było się domyślić, że wypili już sporo alkoholu. Liz odsunęła się jak najdalej, a jednak wyraźnie czuła cierpką woń spirytusu buchającą od nich przy każdym oddechu.

Chico posłał jej zdesperowane spojrzenie, ale nie opierał się, kiedy bezceremonialnie zawlekli go do rezydencji. Liz została sama i buntowniczo uznała, że do domu nie pójdzie. Rodzice mieli ją gdzieś; liczyła się dla nich tylko zabawa. Równie dobrze więc mogła przenocować w stajni! Wdrapała się na pięterko i umościła sobie posłanie na beli słomy okrytej derkami. Noc była ciepła; Liz zasypiała powoli, wsłuchana w parskanie koni i w dźwięki muzyki dobiegające z rezydencji. Było już ciemno, kiedy obudził ją hałas. Ktoś wbiegł do stajni i, nie bacząc na to, że płoszy konie, z hukiem zatrzaskał za sobą drzwi. Skuliła się przestraszona, słysząc, jak in-

truz wdrapuje się na strych; nie miała ochoty na spotkanie z obcym człowiekiem w środku nocy. Po chwili w otworze schodów pojawiła się ciemna postać i Liz rozpoznała przyjaciela.

- Chico? Co się stało? - Zerwała się na równe nogi. Była pewna, że musiało się wydarzyć coś strasznego, inaczej Chico nigdy nie pozwoliłby sobie na to, żeby gwałtownym zachowaniem denerwować zwierzęta. Trzask drzwi i łomot kroków sprawił, że konie, wyrwane ze snu, rzucały się, głośno obijając o ściany boksów i rząc niespokojnie.

Chłopak nie odpowiedział. Może w ogóle nie słyszał jej pytania? Tak samo jak konie na dole zaczął niespokojnie krążyć po pomieszczeniu. Ze wzburzenia drżał na całym ciele. Choć na strychu panował półmrok, Liz widziała, że mięśnie ramion dygocą mu konwulsyjnie, tak mocno zaciskał pięści.

- Chico...?

Obrócił się gwałtownie, jak gdyby dopiero teraz zauważył, że nie jest sam. Liz na zawsze zapamiętała spojrzenie jego oczu - były zmrużone w szparki, dzikie, niemal szalone. Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, krzywiąc usta w wyrazie wściekłości i pogardy, a potem nagle podszedł do niej i chwycił ją za rękę.

- Zabiorę cię stąd - wyrzucił z siebie gwałtownie. Głos miał ochryply. - Obiecuję, Liz. Zabiorę cię z tego domu wariatów, kiedy tylko będę mógł.

Nie pojmowała, o co mu chodzi, ale nie miało to dla niej znaczenia. Ważna była żarliwość w jego głosie, ważny był gorący dotyk jego dłoni. Lady Elizabeth Fane odwzajemniła ten uścisk, poważnie skinęła głową. I aż westchnęła, kiedy w jej umyśle oślepiającym blaskiem eksplodowała świadomość, że jest zakochana. Potężnie, szalenie. Na śmierć i życie.

Chico zapatrzył się na jej rozchylone usta i wyraz jego oczu złagodniał. W następnej chwili znalazła się w jego objęciach. Tę chwilę zapamiętała na zawsze - nieśmiały, ale pełen nieskrywanymi emocjami uścisk jego ramion, drżący oddech, pociemniałe spojrzenie. I jego usta szukające jej ust...

Choć minęło dwanaście lat, nie mogła zapomnieć gorącego dreszczu na myśl o tym, że za chwilę Chico Fernandez ją pocałuje. A więc była zakochana z wzajemnością! Oto najwspanialszy chłopak na świecie, piękny dziką, indiańską urodą, niesamowity zaklinacz koni, patrzy na nią tak, jakby widział najcenniejszy skarb. Przepeniała ją czysta ekstaza, kiedy uniosła ku niemu twarz. Jej usta mrowiły oczekiwaniem na pieszczotę jego warg...

- Fernandez! Jesteś tam?

Szorstki głos Eduarda przeciął ciszę niczym smagnięcie bicia. Chico natychmiast wyprostował się jak żołnierz na warcie, a Liz, ciężko spłoszona, rzuciła się w tył.

- Tak, proszę pana.

- To schodź mi tu zaraz na dół. Mam z tobą do pomówienia.

- Zaczekaj na mnie, proszę - szepnął chłopak. Jeszcze raz uściśnął jej rękę, a potem odwrócił się na pięcie i zniknął w mroku.

Czekała na próżno. Świtało już, kiedy powlokła się do swojego pokoju, smutna i zła. Następnego dnia, choć była obolała z niewyspania, popędziła na padok już o ósmej rano, gdy brazylijska drużyna zaczynała trening. Chciała choć z daleka zobaczyć Chica. Marzyła o tym, że podejdzie do niej, spojrzy jej w oczy tak jak po-

przedniego wieczora i wszystko wyjaśni. Och, będzie na niego czekała! Kiedy tylko skończy trening, spotkają się w stajni... i wtedy wreszcie zaczną się ich własna historia, romantyczna, szalona i szczęśliwa.

Ale Chica nie było. Mijały minuty, a potem godziny, on jednak nie pojawił się ani na padoku, ani na boisku. Zniecierpliwienie Liz ustąpiło miejsca zdziwieniu, a zdziwienie zaniepokojeniu. Chciała spytać o niego kogoś z graczy, ale nie miała odwagi. W końcu, nie mogąc dłużej wytrzymać niepewności, na palcach przemknęła się do tej części rezydencji, gdzie mieszkali Brazylijczycy. Drzwi do pokoju Fernanda były uchylone. Liz stanęła w progu i znieruchomiała na dobre. Nieśmiała nadzieja zgasła, przygnieciona martwym, zimnym ciężarem rozczarowania. Aż za dobrze знаła to uczucie. I ten ból, który przeszywał jej serce za każdym razem, kiedy okazywało się, że znowu została sama. Potem, jak zawsze, przyszło odrętwienie. Z pozorną obojętnością patrzyła na opuszczone wnętrza. Zniknęły rzeczy Chica, półotwarta szafa ziała pustką, na łóżku leżał tylko niepowleczone materac.

Nigdy nie dowiedziała się, dlaczego chłopak, który poprzedniego wieczora obejmował ją i obiecywał wspólną przyszłość, nagle zniknął. Owszem, słyszała, że go szukano. Co dziwniejsze, w poszukiwaniach brała czynny udział jej własna matka, wyraźnie czymś rozeźlona. Ale Eduardo tylko rozkładał ręce. Chico Fernandez był sam sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Coś mu strzeliło do głowy, więc wyjechał. Niestety, Eduardo Cortez nie miał pojęcia gdzie go szukać.

Dorośli dyskutowali, Liz milczała, obserwowwała i słuchała. Powoli, bardzo powoli przyzwyczajała się do myśli, że nigdy więcej nie zobaczy Chica Fernanda. Wreszcie Brazylijczycy wyjechali. Lato się skończyło, ustępując zwykłej, szarej codzienności. A jednak – coś się zmieniło i to w sposób zdecydowany. W pierwszych dniach jesieni do Rottingdean wróciła lady Catherine, w otoczeniu świty prawników, zarządców i ochroniarzy. Liz odesłano do jej pokoju, więc nie słyszała, o co kłócili się rodzice i babcia, choć echo podniesionych głosów niosło się po korytarzach rezydencji. Ale, stojąc w oknie, bardzo dobrze widziała, jak ojciec i matka opuszczają rodzinny dom. Nie zdziwiła się specjalnie, że odjechali bez pożegnania. Nawet nie spojrzeli w jej stronę.

Od tego dnia w Rottingdean nastąpiły nowe porządki. Skończyły się imprezy i libacje alkoholowe. Catherine prowadziła posiadłość żelazną ręką, jednocześnie odnawiając przyjacielskie relacje z gospodarzami z okolicy. Liz wróciła do szkoły, z rezygnacją przygotowując się na kolejną porcję kpin. Ale, o dziwo, nic takiego nie nastąpiło – miejscowa społeczność zdawała się w końcu ją akceptować. Może dlatego, że ona też się zmieniła. Nie była już tą zahukaną, samotną dziewczynką, która godziła się na wszystko z opuszczoną głową. Wbrew kolejnemu rozczarowaniu, które przeżyła, czuła, że nareszcie rozumie, kim jest. A wszystko dzięki kilku słowom wypowiedzianym łamaną angielszczyzną przez chłopaka, którego już nigdy nie miała zobaczyć.

„Nieźle jeździsz konno”.

W wieku niespełna szesnastu lat Elizabeth Fane zdecydowała, że konie będą jej przyszłością. Wybierze odpowiednie studia – zootechnikę albo sporty hipiczne na Akademii Wychowania Fizycznego. Nauczy się wszystkiego, czego można się nauczyć w tej dziedzinie, a potem zajmie się rodzinną stadniną, czy to jako hodowczy-

ni, czy też jako zawodniczka polo, a potem trenerka. To postanowienie uspokoiło ją. Miała cel, wiedziała, do czego chce w życiu dążyć. I nikt nie mógł jej w tym przeszkodzić, ani obojętni rodzice, ani nieżyczliwe otoczenie.

Dobrze pamiętała jeszcze jedno zdanie, które usłyszała od Chica Fernandezza. „Zaczekaj na mnie, proszę”.

Mijały lata, a ona nie mogła zapomnieć intensywnego spojrzenia jego ciemnych oczu, gorącego uścisku rąk, żarliwości w głosie. Już dawno pogodziła się z myślą, że on zapomniał o niej jeszcze tej samej nocy. Wyjechał bez słowa. Jego prośba przestała ją obowiązywać już lata temu, a jednak musiała przyznać, że – w jakimś sensie – wciąż czeka.

Czyż nie marzyła o tym, żeby choć raz odwiedzić Brazylię?

Czyż nie śledziła z zapartym tchem wszystkich prasowych doniesień o karierze Chica Fernandezza, najlepszego gracza polo wszechczasów?

Czyż nie uciniała w zarodku każdego flirtu, bo samo wspomnienie zaklinacza koni o indiańskiej urodzie sprawiało, że każdy inny facet stawał się jej obojętny? Miewała, owszem, kolegów, a nawet dobrych przyjaciół. Tak w liceum, jak i na studiach, trzymała się głównie w towarzystwie chłopaków, a ci ją uwielbiali. Może dlatego, że wszystkich traktowała jak braci, a sama czuła się niemal jak jeden z nich? Interesowały ją konie, sport, długie włóczęgi po szkockich bezdrożach. Babcia Catherine nie szczędziła wysiłków, żeby zrobić z niej damę, ale Liz postawiła stanowcze weto. Wszystko, co zanadto dziewczynskie, kojarzyło się jej z Sereną, a do matki nie chciała się upodobnić w najmniejszym stopniu. Dlatego włosy splotała w niedbały warkocz, a jej ulubionym strojem była szara bluza z kapturem i drelichowe spodnie do konnej jazdy. Czuła się szczęśliwa, kiedy mogła spędzać całe dni na końskim grzbiecie, kąpać się w górskich strumieniach i sypiać przy ognisku. Maturę zdała śpiewająco, choć babcia marszczyła brwi, kiedy zamiast ślęczyć nad książkami, ujeżdżała rozhukane ogiery dwulatki. Potem wybrała studia na Akademii – uznała je za bardziej wszechstronne niż zootechnikę. I wyfrunęła z rodzinnego gniazda, wierząc, że pewnego dnia wróci tu i odmieni los Rottingdean.

Nie wiedziała, jak wielką niespodziankę los szykuje dla niej samej.

Chico Fernandez niewiele czasu potrzebował, żeby przerosnąć swojego mistrza – zrobił zawrotną karierę jako gracz polo, trener i bardzo zmyślny biznesmen – hodowca koni. Za sukcesami na boisku poszły pieniądze i po dwunastu latach Chico Fernandez był jednym z najbogatszych ludzi w świecie hippiki. Chłopak ze slumsów posiadał teraz rozległe ziemie w brazylijskiej pampie, gdzie prowadził stadninę, trenował graczy polo i organizował słynne na całym świecie szkolenia dla przyszłych trenerów polo. Certyfikat ukończenia takiego kursu z podpisem Fernandezza był przepustką do świata profesjonalistów i zapewniał napływ klienteli. Elizabeth nawet nie marzyła o tym, by móc uczestniczyć w jednej z edycji tego kursu. Po pierwsze, nie miała pieniędzy. Po drugie, brakowało jej chyba odwagi, żeby po tylu latach spotkać się twarzą w twarz z mężczyzną, który odszedł od niej bez słowa wyjaśnienia... jeszcze przed ich pierwszym pocałunkiem. Jeśli chodzi o nietrwałość związku, pobiła chyba rekord Guinnessa. Została porzucona, zanim ten związek naprawdę się rozpoczął. O Chicu Fernandezie powinna raz na zawsze zapomnieć. Był jeszcze

jedną traumą, jeszcze jednym złym wspomnieniem z jej smutnej młodości.

Tak myślała aż do dnia, kiedy będąc na ostatnim roku studiów, z jakąś absurdalnie wysoką średnią ocen, o które wcale się nie starała, zobaczyła na tablicy ogłoszeń listę studentów, którym w ramach stypendium proponowano darmowe szkolenie na rancho Fernandez. Jej nazwisko było na pierwszym miejscu. Z trudem łapała dech, bo jej serce tłukło się w klatce piersiowej jak oszalałe. Wyjazd planowany był zaraz po zakończeniu letniego semestru, a na podjęcie decyzji studenci mieli siedem dni. Litery tańczyły jej przed oczami.

Znów poczuła się jak piętnastolatka, naiwna piętnastolatka, onieśmielona wobec starszego chłopaka, w którym była po uszy zakochana. Co robić? Nie miała pojęcia.

- Jedź - powiedziała jej babcia. - Jedź, wykorzystaj szansę. Chcesz być trenerem polo? Wrócisz z dyplomem, który wszystko ci ułatwi. Postawisz na nogi Rottingdean, kiedy rozgłosimy, że osoba z certyfikatem Fernandez szkoli tu zawodników.

- Jedź - powiedział jej ojciec, wychylając jednym haustem szklaneczkę whisky. Liz nie miała pojęcia, dlaczego odwiedziła go, pytając o radę. Chyba wciąż się łudziła, że rodzicom na niej jednak w jakiś sposób zależy. - Jedź, córko. Ale pamiętaj, że Chico Fernandez jest wrogiem Fane'ów. To on sprawił, że nasza rodzina się rozpadła. Przez niego straciłem nie tylko dom, ale i żonę. Stara, uparta wiedźma Catherine nie chce tego zrozumieć, ale ty musisz mi uwierzyć. Serena odeszła przez to, co jej zrobił ten drań, Fernandez. Więc jedź i wysonduj wszystko, co ten łajdak wie o koniach. A potem pomyśl o tym, jak go zniszczyć. Pomścij naszą rodzinę!

Liz nie odpowiedziała. Szczerze wątpiła, by Chico Fernandez miał cokolwiek wspólnego z tym, że Serena odeszła od Artura. Mamuśka po prostu w pewnym momencie zdecydowała, że woli krótkie przygody z młodszymi kochankami niż coraz nudniejszą codzienność u boku starzejącego się pijaczyny. Była też więcej niż pewna, że rodzice nie potrzebowali niczyjej pomocy, żeby doprowadzić Rottingdean do stanu takiej ruiny, że lady Catherine straciła cierpliwość i odebrała synowi rodzinny majątek, bez litości szczując go prawnikami i oskarżając o karalną niegospodarność.

Z ojcem nie należało jednak dyskutować, zwłaszcza kiedy był pod wpływem alkoholu. Elizabeth skinęła więc tylko głową, tak jak robiła to zawsze w tych rzadkich chwilach, kiedy lord Fane raczył zwracać się do niej z jakimś żądaniem. Milczała, wpatrzona w przekrwione, półprzytomne oczy ojca, i czuła, jak rośnie w niej bunt. Niebezpieczny jak płomień, potężny jak samo życie.

Tak, zdecydowała w tej właśnie chwili. Pojedzie na rancho Fernandez, zdobędzie dyplom z jego podpisem. Po to, żeby odciąć się od przeszłości. Od rodziców, którzy wykreślili ją ze swojego życia, i od człowieka, który okrutnie zakpił z jej uczuć, zawiódł ją, a jednak wciąż widywała go w snach. Nastął najwyższy czas, żeby Elizabeth Fane zyskała niezależność i ruszyła przez życie własną drogą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niewielki odrzutowiec zaczął podchodzić do lądowania, gwałtownie wytracając wysokość. Liz zacisnęła dłonie na poręczach fotela, koncentrując się na tym, żeby oddychać głęboko i spokojnie. Samolot to najbezpieczniejszy środek transportu, jaki istnieje, powtarzała sobie, łudząc się, że zdoła przekonać samą siebie. Niestety, nie było to łatwe. Samolocik dygotał jak zabawka miotana przez tornado. Wciąż skupiona na oddechu, zacisnęła powieki. Jeśli tylko przeżyje następne minuty... postawi stopy na brazylijskiej ziemi.

Spełni się jedno z jej skrytych marzeń.

Dopiero kiedy samolot wyhamował i zatrzymał się, Liz puściła poręcz fotela i pozwoliła sobie na głębokie, drżące westchnienie. A potem otworzyła oczy.

Najpierw zobaczyła światło. Wlewało się przez niewielkie okna samolotu szerokimi potokami, jasne, złociste, nieprawdopodobnie wręcz obfite i tak potężne, że musiała zmrużyć powieki. Powietrze nad pasem startowym zdawało się płonąć niewidocznym ogniem, falując od skwaru, a wokół wąskiej linii asfaltu kolory wybuchały niczym jaskrawe, niemal oślepiające fajerwerki. Zieleń drzew o grubych pniach i gęstym listowiu, odpornym na suszę i upał. Kępy wysokich, płowych traw na bezkresnej równinie. Dalekie wzgórza, które wyglądały jak wykute w czystym złocie. I królewski błękit nieba, tak głęboki i nasycony, jak potężne było słońce w tej szerokości geograficznej.

Kiedy przyszła jej kolej, stanęła w drzwiach samolotu i zrobiła krok naprzód, wchodząc w sferę intensywnego światła, nasyconych barw i egzotycznych woni.

Była w Brazylii.

Tyle że nie bardzo miała czas analizować swoje odczucia i wrażenia. Nie była turystką na wakacjach. Miała konkretną pracę do wykonania i, co ważniejsze, nie przyjechała tu sama. Szybko przebiegła do tylnej części samolotu, gdzie przewożono konie. Choć każdy gracz potrzebował kilku wierzchowców, żeby rozegrać partię polo, na szkolenie uczestnicy mogli przywieźć tylko po jednym koniu. Liz zabrała ze sobą dzikiego Villemo, swojego ukochanego ogiera. Choć koń nie miał jeszcze czterech lat, widziała w nim niesamowity potencjał. Był diabelnie silny, wytrzymały i inteligentny, posłuszny jak anioł i aż rwał się do współpracy ze swoją właścicielką. Chciała, żeby to właśnie on zapoczątkował w Rottingdean linię hodowanych najlepszych wierzchowców do polo. Teraz jednak, po długim locie i niezbyt gładkim lądowaniu, młody koń na pewno szalał z przerażenia, pomimo środków uspokajających, które podała mu przed podróżą. Jej pierwszym obowiązkiem było zadbać o Villema. Chciała być przy nim, ukoić jego lęk, sama wyprowadzić go z ciemnego doku na ziemię, pod słońce Brazylii.

Konie rżały, stawały dęba, niebezpiecznie tłukły kopytami, kiedy miejscowi stajeni wyprowadzali je z luku.

- *Desculpe*, przepraszam. - Liz, nie zważając na niebezpieczeństwo, przepchnęła się pomiędzy rozhukanymi zwierzętami. Nie chciała, żeby ktokolwiek poza nią dotykał Villema. Znalazła go w głębi pomieszczenia. Ciemny, gniady koń z białą strzałką na czole kładł uszy po sobie, dziko rzucając łbem.

- Dobrze, już dobrze - powiedziała śpiewnie, kojąco, unosząc ku niemu rękę. Po-deszła powoli i zdecydowanym, płynnym ruchem położyła mu dłonie na karku. - Spokojnie, mój piękny. Spokojnie. Jesteś bezpieczny. Teraz już wszystko będzie tak jak trzeba.

Villemo zarżał, rzucił łbem, prychnął, rozdymając chrapy. Liz wzmocniła uścisk, nie przestając głaskać jedwabistą sierść ogiera. Była zdecydowana robić to tak długo, aż zwierzę przestanie drżeć i nerwowo przestępować z nogi na nogę. Nie obchodziło jej, że inni kursanci już dawno opuścili samolot, towarzysząc stajennym, którzy prowadzili wciąż roztrzęsione konie do przeznaczonych dla nich boksów.

- Tak, taaak - powtarzała cicho, obejmując kark ogiera, opierając się o niego całym ciałem, tak żeby czuł jej bliskość. - Nie trzeba się denerwować. Nie ma się czego bać.

- *Quem é que na parte de trás congeladas em pedra? Tremos trabalho a fazer!* - Niski, lekko schrypnięty głos wtargnął w ciszę, zdecydowany, pełen skupionej energii. Liz rozpoznała go od razu. Wypełnił jej świadomość gorącym dreszczem, tak potężnym, że znieruchomiała jak rażona gromem. Serce tłukło się w jej piersi, głuszając myśli, pozbawiając tchu.

Chico.

Dwanaście lat przestało istnieć. Znowu była nieśmiałą, szaleńczo zakochaną nastolatką. Wystarczyło, żeby się odwróciła, a zobaczyłaby go. Ale nie mogła się porużyć. Nie mogła oddychać. Nie mogła jasno myśleć.

Villemo schylił łeb, trącił swoją panią w ramię, chuchnął ciepłym oddechem w jej policzek. Objęła go mocniej za szyję, ukryła twarz w gęstwinie grzywy. Teraz to ona potrzebowała wsparcia, a ogier zdawał się bezbłędnie odczytywać jej nastrój.

Spokojnie, powtarzała sobie, starając się wyciszyć szalejące emocje. Musiała wziąć się w garść. Nie miała żadnego powodu, żeby się rumienić, a jej onieśmienie było absolutnie nie na miejscu. Przeszłość powinna zostawić daleko w tyle, podobnie jak zrobił to Fernandez. Nie była już naiwną piętnastolatką, nie przyjechała tutaj, żeby narzucać się ze swoim głupim uczuciem chłopakowi, który jej nie chciał. Przyjechała jako studentka, na kurs, który on organizował. Jej nazwisko było na liście, którą on zatwierdził. Miała prawo się tu znaleźć, a on miał obowiązek traktować ją tak, jak każdego innego uczestnika kursu.

Nabrała głęboko powietrza i, wciąż słysząc echo jego głosu, obróciła się powoli. Czy bardzo się zmienił przez te wszystkie lata? Wtedy był dzikim, mrukliwym wyrostkiem, teraz ponad trzydziestoletnim mężczyzną, który przeszedł długą drogę i osiągnął niebywały sukces jako sportowiec, hodowca i biznesmen. Miała wrażenie, że słyszy w jego głosie tę dorosłość, siłę, która pozwoliła mu się wybić, i determinację, która doprowadziła go na szczyt. Podniosła wzrok, żeby spojrzeć w oczy chłopcu, którego kiedyś знаła. Chłopcu, który stał się obcym mężczyzną.

Ale pas startowy był pusty. Grupa stajennych prowadzących konie oddalała się, kursanci, zbici w ciasną grupę, dreptali niczym stado spłoszonych kurcząt za męż-

czynną, który pokazywał im drogę szerokim gestem, coś przy tym tłumacząc.

Czy to był on? Chyba tak... Zapušcił włosy. Pamiętała go z grzywą rozwichrzonych kosmyków, opadających na oczy. Teraz splatał je w gruby, smoliście czarny war-kocz. Choć słońce stało właśnie w zenicie i paliło niemiłosiernie, on wydawał się w ogóle tym nie przejmować. Miał na sobie skórzane buty do konnej jazdy, spłowia-łe dżinsy i kurtkę z brązowego zamszu. Jak każdy gracz polo nie był imponująco wy-soki, ale cała jego postać emanowała skupioną, spokojną energią, tak że zdawał się dominować nad otoczeniem.

- Liz! Pospiesz się! - Danny, koleżanka ze studiów, stanęła w wejściu do luku. - Co ty tu jeszcze robisz? Wszyscy już poszli!

- Wiem - westchnęła, czując prawdziwą ulgę na widok szczupłej, króciutko ostrzyżonej blondynki. Danny była praktyczna, zdroworozsądkowa i pełna optymizmu. Zaprzyjaźniły się już na pierwszym roku studiów, a kiedy okazało się, że oby-dwie są na liście przyjętych na kurs Fernandeza, szalały z radości. Teraz Liz zaczy-nała rozumieć, jak bardzo potrzebuje przyjaźni Danny. Dzięki niej wiedziała, że nie jest sama. We dwie na pewno sprostają wyzwaniu, jakim było zaliczenie szkolenia. - Już idę. Musiałam uspokoić Villema. Chodź, mój piękny - dodała pieszczotliwie, uj-mując kantar i stanowczo skłaniając ogiera, żeby ruszył z miejsca. - Czas odkryć Brazylię!

ROZDZIAŁ TRZECI

Chico Fernandez był w znakomitym humorze. Lubił rozgrywać gościnne mecze polo w Europie, Azji albo Stanach Zjednoczonych, ale jeszcze bardziej lubił wracać do domu. Brazylijska posiadłość była jego oczkiem w głowie. Tutaj wszystko działało jak w zegarku. Dokładnie tak, jak to zaplanował. Konie kochały porządek, przewidywalność i powtarzalność, a on kochał konie, więc taki układ całkowicie mu odpowiadał. Dwa razy do roku prowadził „kurs Fernandeza”, szkolenie, o które ubiegali się najlepsi adepci gry w polo z całego świata. Kurs trwał sześć tygodni – czterdzieści dwa dni ciężkiej pracy, pełne wysiłku, gwaru i zamieszania. Ale to też lubił. Czuł ogromną satysfakcję, widząc zapał w oczach młodych sportowców. Wiedział, że ci, którzy podołają żelaznej dyscyplinie i morderczemu tempu treningów, które narzucał, zrobią błyskawiczne postępy, i ta świadomość napawała go dumą. Tutaj, w brazylijskiej pampie, w pełni czuł, że znalazł swoje miejsce na świecie. Owszem, był czas, kiedy cierpiał z powodu biedy, samotności i odrzucenia, ale tamte dni minęły i nigdy nie wrócą. Udało mu się chwycić życie niczym rozhukanego ogiera, za grzywę, utrzymać się na jego grzbiecie i poprowadzić tam, dokąd chciał. Był panem swojego losu.

- Maria? - zawołał, przekraczając drewniany próg starego domostwa i wchodząc w chłodny półmrok wielkiej kuchni. - Chciałbym zerknąć na listę nowoprzybyłych.

- Listę masz w gabinecie. - Gospodyni podniosła się z za wielkiego dębowego stołu, przy którym odpoczywała po porannej krzątaninie, popijając kawę i wertując opasły zeszyt z przepisami kuchennymi. - Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że jeszcze jej nie widziałeś? O ile wiem, twoim obowiązkiem jest sprawdzanie kandydatur i zatwierdzanie ostatecznej listy.

- Nie patrz na mnie takim wzrokiem - poprosił, unosząc dłonie w geście kapitulacji. - Oszalałbym, gdybym musiał sam sprawdzać wszystkich chętnych na szkolenie. Tych ludzi są setki. Do tej roboty mam selekjonerów, to oni wybierają zwycięską dwudziestkę spośród wszystkich zgłoszeń. Ale masz rację, powinienem był zerknąć na listę, i na pewno bym to zrobił, gdybym miał choć moment dla siebie. Rano wróciłem ze Stanów, ledwo zdążyłem przywitać się z końmi i wskoczyć pod prysznic, a już trzeba było wziąć do galopu nową grupę żółtodziobów.

- Już się tak nie użalaj nad sobą. - Gospodyni wzięła się pod boki, błysnęła ciemnymi oczami, a kiedy potrząsnęła głową, długie, srebrne kolczyki zatańczyły przy jej uszach. - Wiem, że uwielbiasz wyżywać się na tych nieszczęsnych młodych zapaleńcach i nie możesz się doczekać, aż zaczniesz treningi. Ale jednego ci nie daruję: że z końmi się przywitałeś, a ze mną nie.

- Wybacz. - Rozłożył szeroko ramiona i po chwili gospodyni wpadła w jego objęcia. Przytulił ją do siebie mocno, serdecznie, a ona wycisnęła na jego policzku głosego całusa. Pachniała olejkiem różanym i świeżo parzoną kawą. Chico Fernandez, znawca koni, mistrz polo i multimilioner, uniósł głowę i roześmiał się głośnym,

szczęśliwym śmiechem. Był w domu.

Maria, przystojna Latynoska z gęstwiną siwiejących, mocno kręconych włosów upiętych w tradycyjny kok, była jego gospodynią, kierownikiem aprowizacji, szefową personelu i dyrektorem do spraw organizacyjnych. Ale przede wszystkim była jego zastępczą matką. Znał ją od zawsze – w *barrio*, biednej dzielnicy Rio de Janeiro mieszkali po sąsiedzku, w slumsach zbudowanych z dykty, blachy i brezentowych płacht. Jego starszy brat, Augusto, i syn Marii, Felipe, należeli do jednego gangu. Chico uciekał, kiedy tylko mógł, z lekcji w miejscowej, kiepskiej podstawówce, żeby grać w piłkę na dziurawym asfalcie przecinającej *barrio* ulicy. Maria groziła mu palcem, ale co mogła zrobić więcej? Rodzice Augusta i Chica Fernandezy nie żyli, on zmarł z przedawkowania, a ona zginęła w pożarze szwalni, w której pracowała, żeby zapewnić utrzymanie synom. Dwaj chłopcy byli sierotami; starszy, jako żołnierz gangu, przynosił do domu pieniądze. Młodszy robił, co chciał. Zresztą, własny syn Marii, Felipe, też przestał słuchać się matki, odkąd dowódcy gangu dali mu broń. Śmiał się tylko z pogardą, gdy mu powtarzała, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Nie zdążył wydorosnąć na tyle, żeby przyznać jej rację. Nie zdążył, bo pewnego dnia śmierć przyszła po niego, obojętna, bezmyślna i przerażająco skuteczna. Śmierć miała szesnaście lat, dziurawe adidas i zmęczone oczy, w których już dawno zgasł blask niewinności. Wybiło właśnie południe; dzień był słoneczny, więc Maria wywieszała przed domem pranie, obserwując spod oka Chica, który uganiał się za piłką. Augusto i Felipe wracali z miasta, powolnym, rozkołysanym krokiem mężczyzn, którymi jeszcze nie zdążyli się stać. Śmierć wyszła im na przeciw, uniosła pistolet i nacisnęła spust. Mały Chico nie zdążył krzyknąć; Maria dopadła go, gdy bezgłośnie otwierał usta, wpatrzony w nieruchome, podziurawione kulami ciała brata. W chwili, kiedy jej własny syn, rozciągnięty na asfalcie, walczył o ostatni oddech, ona tuliła do siebie cudze dziecko, kryjąc je przed wzrokiem wymachującej pistoletem śmierci. Tego dnia oboje przeżyli. I zostali sami na świecie.

Chico nie pamiętał zbyt dokładnie, co się tamtego dnia wydarzyło – adrenalina przesłoniła mu świadomość gęstą, czerwoną mgłą. Przypominał sobie tylko, że kiedy chłopcy z wrogiego gangu zniknęli, zostawiając dwa nieruchome ciała na rozgrzanym asfalcie, wyrwał się z objęć Marii. Wściekłość i potworny, zwierzęcy ból zdławiły wszelką myśl, zagłuszyły nawet strach. Zignorował nawoływania sąsiadki i popędził ku bratu. Rzucił tylko jedno spojrzenie na jego nienaturalnie bladą twarz, na niewidzące oczy i półotwarte usta, z których sączyła się gęstniejąca strużka ciemnej krwi. Nie zatrzymał się, żeby pożegnać Augusta, zamknąć mu powieki. W ogóle o tym nie pomyślał. Wiedział, że brat ma broń ukrytą pod bluzą. Gdyby tamci nie zaatakowali z zaskoczenia, na pewno zdążyłby ją wyciągnąć i załatwiłby ich wszystkich na cacy. Ale teraz leżał cały podziurawiony i Chico czuł, bez cienia wątpliwości, że musi go pomścić. Właśnie przestał być dzieckiem. Teraz on był mężczyzną z rodu Fernandezów, w jego rękach spoczywał honor rodziny.

Zabije tych obcych chłopaków. Dogoni ich i zabije wszystkich, co do jednego!

Pamiętał czerwone plamy furii migoczące przed oczami i chłodny ciężar pistoletu w dłoni. Pamiętał, że biegł ulicami tak szybko, jak tylko mógł, oddychając czystą nienawiścią. Nie wiedział, jak to się stało, że znalazł się w części miasta, której zupełnie nie znał. Przepychał się przez tłum, starając się nie stracić z oczu czerwonej

bejsbolówki najwyższego chłopaka z obcego gangu. Wąska ulica skończyła się, biegł teraz przez szeroki, dziwny plac, porośnięty gęstą, równiutko przyciętą trawą. Jacyś ludzie próbowali go zatrzymać, ale zmylił ich zręcznym zwodem, a potem rzucił się naprzód, szybki i zwinny jak jaszczurka. Nie zauważył, kiedy wokół niego zrobiło się pusto. Nie usłyszał pełnych przerażenia nawoływań. Zatrzymał się dopiero, kiedy poczuł, że ziemia pod jego nogami zaczyna dygotać, a w uszach narasta dziwny, ogłuszający tętent. Kiedy podniósł głowę, zamarł z przerażenia.

Sześć rozpedzonych koni szarżowało prosto na niego.

Krzyk zgromadzonych ostrzegł jeźdźców, którzy ściągnęli cugle, ale było już za późno na jakikolwiek manewr. Zwłaszcza że konie, spłoszone nagłym zamieszaniem, zaczęły stawać dęba, a dzieciaki, które siedziały w siodłach, nie miały pojęcia, jak je opanować.

I wtedy, kiedy, logicznie rzecz biorąc, nic już nie mogło uratować dziesięcioletniego Chica przed stratowaniem, wmieszało się przeznaczenie. Wszystko wydarzyło się błyskawicznie, ale wyrzut adrenaliny do krwi spowodował, że widział całą akcję jak w zwolnionym tempie. Od razu zrozumiał, że nie zdąży uciec. Miał akurat tyle czasu, żeby podnieść głowę i spojrzeć własnej śmierci prosto w oczy.

Ale nie zobaczył śmierci. Napotkał oszalały wzrok najbliższego konia i poczuł, że żyje. W wielkich, błyszczących oczach zwierzęcia dostrzegł coś, co go całkowicie zaskoczyło. To była... obietnica więzi. W ułamku sekundy zrozumiał, że zrobi wszystko, żeby ta obietnica się spełniła.

Najpierw jednak musiał przeżyć.

Czy kiedykolwiek wcześniej widział, choćby w telewizji, jak radzić sobie ze spłoszonym koniem? Jeśli nawet, to zupełnie tego nie pamiętał. Nie miał pojęcia, skąd wiedział, co zrobić. Przemówił instynkt, potężnym głosem, który zmusił do posłuchu każdy mięsień jego ciała.

Zwodniczo płynnym, błyskawicznym ruchem rzucił się naprzód i złapał konia za uprząż, tuż przy pysku. Chwycił rzemień mocno, tak mocno, jak tylko potrafił, a kiedy wierzchowiec szarpnął łbem, odbił się stopami od ziemi i skoczył. W następnej chwili siedział już na końskim grzbiecie, z całej siły oplatając jego kark ramionami.

- Dobrze, już dobrze. Wszystko będzie dobrze. - Coś kazało mu powtarzać te słowa kojącym tonem, choć zwierzę stanęło dęba, a nastolatka, która siedziała w siodle, już dawno spadła na ziemię. Koń przebiegł jeszcze parę metrów, zatańczył nerwowo, a potem zatrzymał się, tak samo wyczerpany jak chłopak, który kurczowo trzymał się jego grzbietu.

- Proszę, proszę. Cóż za widowiskowy popis. - Z tłumu wyszedł niewysoki mężczyzna o imponującej muskulaturze i magnetycznym spojrzeniu. Ujął konia za uzdę, bezwiednym ruchem pogłaskał go po pysku, a potem podał rękę chłopcu. Chico zsunął się na ziemię i byłby upadł, gdyby nie podtrzymało go silne ramię mężczyzny. Nogi miał jak z waty. - Widzę, że potrafisz jeździć konno, młody przyjacielu.

Chico pokręcił tylko głową. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu.

- A co to takiego?

Mężczyzna zmarszczył brwi, widząc kolbę pistoletu wystającą zza paska postrzępionych spodni dziesięciolatka. Chico szarpnął się w tył, ale tamten zacisnął palce na jego nadgarstku, zamykając go w żelaznym uścisku.

- Niech pan mnie puści! Muszę...

- Nic nie musisz - uciał tamten, przesywając go świdrującym spojrzeniem swoich czarnych oczu, które dostrzegały zdecydowanie za dużo. - Wyruszyłeś na wojenną ścieżkę, młody przyjacielu? Będę musiał cię rozczarować. Nigdzie się nie wybierasz z tą zabawką.

- Ale... - Chico targnął się, jednak mężczyzna ani myślał go puścić. Wolną ręką sięgnął po pistolet i błyskawicznym ruchem ukrył go w kieszeni swojej zamszowej kurtki.

- Nie ma żadnego „ale”. - W łagodnym głosie tamtego była żelazna stanowczość.

- Teraz pójdziesz ze mną. Jeżeli będziesz chciał, powiesz mi, dokąd biegłeś z odbezpieczonym rewolwerem, ale na razie po prostu się ciesz, że nie odstrzeliłeś sobie jaj.

Chico nie wiedział wtedy, że mężczyzna nazywa się Eduardo Cortez i jest jednym z najlepszych trenerów polo na świecie. Po prostu poczuł, że ogromny ciężar spada mu z serca. Oto znalazł się człowiek silny i zdecydowany, który proponował, że się nim zaopiekuje. A on bardzo, bardzo chciał wrócić choć na chwilę do bezpiecznej krainy dzieciństwa.

Potem wydarzenia potoczyły się szybko. Chico został zabrany do domu, tak wielkiego i eleganckiego, że nie mógł uwierzyć, że to nie sen. Posadzono go za stołem, podano czystą szklankę pełną zimnej lemoniady z kawałkami prawdziwej cytryny, a kiedy głośno zaburczało mu w brzuchu, pojawił się przed nim talerz z górą frytek i prawdziwym soczystym stekiem, który był tak ogromny, że kiedy go zobaczył, ze zdumienia aż otworzył buzię.

Dosłownie rzucił się na jedzenie, a kiedy pałaszował cudownie chrupiące frytki i soczyste mięso, naprzeciwko niego usiadła młoda kobieta o uważnym, pełnym troski spojrzeniu. Nie pamiętał, o co go zapytała, ale wystarczyło dziesięć minut, a powiedział jej wszystko - o Auguście i Felipe, których załatwili chłopcy z wrogiego gangu, i o tym, że musi pomścić brata, bo to sprawa honoru.

- Właśnie go pomściłeś. - Kobieta uśmiechnęła się do niego krzepiąco, ale w jej głosie brzmiała żelazna determinacja. - Bardzo dokładnie opisałeś sprawców. Jestem z policji i daję ci słowo, że zrobię wszystko, żeby ich zatrzymano. Ale póki co, nie powinieneś wracać do domu, bo to niebezpieczne. Powiedz mi, czy jest ktoś, kto mógłby się tobą zaopiekować?

- Tylko Maria. Ale ona mieszka tam gdzie ja. To znaczy, w sąsiednim... - zawahał się - domu. Maria też wszystko widziała.

- Jedziemy po nią. - Kobieta natychmiast podniosła się z miejsca. - Jeżeli tamci pójdą po rozum do głowy, na pewno wrócą, żeby zlikwidować świadków strzelaniny. Musimy zdążyć przed nimi. Czy mógłbyś pojechać z nami i pokazać nam drogę?

- Bardzo bym chciał - popatrzył bezradnie na policjantkę - ale nie wiem, jak trafić do domu. To jest w *barrio*...

- Nie mamy chwili do stracenia. - Ciemnowłosa kobieta wzięła go za rękę i ruszyła do drzwi. - Jedziemy do *barrio*. Powiesz mi, kiedy rozpoznasz swoją okolicę.

Tego samego dnia Chico Fernandez na zawsze opuścił dzielnicę slumsów, w której spędził pierwsze dziesięć lat życia. Wtedy jeszcze był zbyt młody, żeby zrozumieć, jak niesamowite miał szczęście. Nie trafił do domu dziecka, bo Maria oświadczyła

po prostu, że jeśli będą chcieli go zabrać, to po jej trupie. Jej syn nie żył, a Chico stracił całą rodzinę. Teraz mieli tylko siebie; zamierzała sama zaopiekować się chłopcem. Kto zrobiłby to lepiej? Znała go wszak niemal od urodzenia.

Pracownica opieki społecznej uśmiechnęła się kwaśno.

- Przykro mi, ale to absolutnie wykluczone. Nie ma pani stałego zameldowania ani odpowiedniego dochodu, żeby...

- Ale mam dwie ręce - zaperzyła się Maria. - Potrafię uczciwie pracować i Kocham tego chłopca jak własnego syna!

- Mieszkanie i pieniądze nie będą problemem. - W drzwiach stanął Eduardo Cortez. - Zamierzam udzielić gościny tym dwojgu tak długo, jak będzie to potrzebne. Chłopak ma wybitny talent jeździecki. Niech mnie licho, jeśli pozwolę, żeby zgnił w domu dziecka.

Chico słuchał tego wszystkiego jak bajki, zbyt pięknej, żeby mogła być prawdziwa. Z wrażenia kręciło mu się w głowie. Dorośli musieli podpisać całą stertę papierów. Nie dostrzegł ukradkowych, zaintrygowanych spojrzeń, które posyłał sobie Maria i Eduardo.

A potem zaczęło się nowe życie - o wiele bardziej kolorowe, ale i o wiele trudniejsze niż to, które wiódł do tej pory. Musiał zostawić za sobą wszystko, co znał do tej pory - swoje miasto, dzielnicę slumsów, w której spędził dzieciństwo - i wyprowadzić się na daleką prowincję, gdzie znajdowała się prowadzona przez Eduarda stadnina. Zamieszkał z Marią w bocznym skrzydle wielkiego domu, który od ponad dwustu lat rozpiekał się dumnie w samym sercu brazylijskiej pampy. Chico na początku nie mógł uwierzyć, że horyzont może być tak zawrotnie szeroki, a niebo tak intensywnie niebieskie. Nie mógł się też nadziwić, że można mieć w kuchni tyle jedzenia, ale do nowej diety, bogatej w owoce i warzywa, szybko się przyzwyczaił, bo Maria naprawdę świetnie gotowała. Eduardo też musiał być tego zdania, bo coraz częściej wpadał na posiłki do kuchni Marii. Wagary skończyły się raz na zawsze - wystarczyło, że Eduardo przeprowadził z nim jedną, męską rozmowę, a Chico przestał nawet myśleć o tym, że mógłby uciec z lekcji. Na początku do szkoły chodził jak na ścięcie, ale wolał to niż alternatywę, którą przedstawił mu nowy opiekun - nauka w domu, pod okiem prywatnego belfra, i zero kontaktu z końmi, dopóki nie zaliczy kolejnej porcji materiału. Okropność. Tego by nie zniósł. Na szczęście szybko się okazało, że mała wiejska szkoła, do której został zapisany po przyjeździe na ranczo, ani trochę nie przypomina przygnębiającego, źle zorganizowanego molocha, z którego tak chętnie uciekał w mieście. Dzieciaki ze wsi miały inne zainteresowania niż używki i przemoc, a nauczyciele nie byli przemęczeni, zrezygnowani ani sfrustrowani i nie odchodzili z pracy po tygodniu. Niebawem Chico przekonał się z niejakim zdziwieniem, że... lubi chodzić do szkoły. Ale jeszcze bardziej lubił z niej wracać. Dostał nowiutki rower i każdego popołudnia pedałowal ile sił w nogach, żeby prędzej znaleźć się na ranczu.

Codziennie trenował konną jazdę pod okiem Eduarda, i to były najpiękniejsze godziny dnia. Wcześniej nie wiedział, nie przypuszczał nawet, że może istnieć tak intensywne uczucie wolności i szczęścia jak to, którego doznawał, kiedy siedział na oklep na końskim grzbiecie, obejmując potężny kark zwierzęcia, a rozwiana w galopie grzywa smagała go po twarzy. Zafascynowany, odkrywał niesamowitą więź łą-

czącą konia i jeźdźca.

Wciąż uśmiechając się do wspomnień, z kurtuazją cmoknął Marię w rękę, nalał sobie wielki kubek kawy i ruszył do gabinetu. Stare drewniane schody zaskrzypiały pod nogami, a on uśmiechnął się jeszcze szerzej. Maria już od dawna suszyła mu głowę, że stary dom domaga się generalnego remontu, ale on nie zamierzał niczego zmieniać. Owszem, ku swojemu niejakiemu zdziwieniu doszedł do wielkich pieniędzy i mógłby bez najmniejszego problemu zamienić wiekową budowlę w perełkę nowoczesnej architektury. Tyle że nie chciał. Wciąż jeszcze nie mógł się nadziwić, że Eduardo właśnie jemu zapisał w testamencie swoją rozległą ziemię, stadninę i dom. Czuł głębokie wzruszenie na myśl o człowieku, który stał się jego przybranym ojcem. Stadninę prowadził po swojemu, ranczo rozbudował i zmodernizował – wiedział, że tego właśnie chciałby Eduardo. Ale dom pozostawił taki, jakim zobaczył go po raz pierwszy, kiedy miał dziesięć lat i oczy okrągłe z zachwyty. Dopóki dach był solidny, ściany czysto odmalowane, podłogi gładkie, a nowoczesne wyposażenie kuchni, łazienki i gabinetu zapewniało wszelki komfort użytkownikom, reszta miała zostać po staremu. Wciąż jeszcze unosił się tu duch Eduarda.

Wszedł do sporego pomieszczenia na piętrze, pod stropem z grubych drewnianych belek. Gabinet urządony był niemalże po spartańsku – na podłodze z gładko wypolerowanych, pociemniałych ze starości desek stało równie wiekowe biurko, wielkie jak statek dalekomorski. Ściany z szarego kamienia były ascetycznie puste, jeśli nie liczyć ogromnego okna z widokiem na stajnie i padok oraz solidnego regału sięgającego sufitu, dźwigającego całą dokumentację rancza, albumy ze zdjęciami i chyba całą literaturę dotyczącą hippiki, jaka kiedykolwiek powstała na świecie. Na blacie biurka pysznił się elektroniczny sprzęt najnowszej generacji. Nie była to jedyna nowość – znajdował się tu też specjalistyczny, skomplikowany sprzęt audio, podłączony do czterech głośników najwyższej klasy. Chico lubił słuchać muzyki, kiedy pracował.

Z zadowoleniem powiódł wzrokiem po znajomym wnętrzu, gdzie wszystko było dokładnie na swoim miejscu, a potem podniósł z biurka listę uczestników kursu, rozsiadł się w fotelu i zaczął czytać. Zrobiło się mu ciepło na sercu, kiedy na samym początku zobaczył trzy znajome nazwiska. Dzieciaki z *barrio*, które swego czasu zdołał zainteresować końmi, wykazały się nieprzeciętnym talentem jeździeckim. Opłacił im studia, a one nie zmarnowały szansy. Miał ogromną satysfakcję, widząc, że najzdolniejsza trójka została zakwalifikowana na jego elitarny kurs dla przyszłych trenerów polo. W zamyśleniu czytał dalej. Czwooro Amerykanów, Włoch, Hiszpanka. Tych trzeba będzie ostro zdyscyplinować. Z doświadczenia wiedział, że niektórzy studenci żywią błędne przekonanie, że sześciotygodniowy kurs przetrwają, imprezując każdej nocy. Pierwsze dni treningów powinny skutecznie wyleczyć ich ze złudzeń. Dalej – trzy dziewczyny z Korei Południowej. Z nimi nie będzie żadnych problemów, chyba że okażą się męcząco nadgorliwe. Wielka Brytania... stamtąd zazwyczaj przyjeżdżali zdolni studenci, ale straszne lenie i ochlapusy. Kogo przysłali w tym roku?

Elizabeth Fane.

Szok był tak potężny, że Chico omal nie zakrztusił się własnym oddechem.

Minęło dwanaście lat, odkąd zetknął się z piekielną rodziną Fane'ów, ale jeszcze

ciągle, kiedy o nich myślał, czuł mdłości. Mało brakło, a nie wyszedłby cało z tego spotkania. Gdyby nie błyskawiczna akcja Eduarda, który z pomocą lady Catherine w parę godzin zorganizował jego wyjazd za ocean, Chico trafiłby do więzienia lub co najmniej stracił reputację i szansę na karierę, oskarżony o poważne przestępstwo, którego nie popełnił. Hrabstwo Fane omal nie zniszczyli mu życia, z zemsty za to, że nie zgodził się być ich zabawką. Kiedy usiłovali wciągnąć go do swojej ohydnej, zboczonej gry, spłoszył się. Dobrze, że zdołał uciec. Serena próbowała go zatrzymać, ale gdy poczuł, jak jej pazurzaste palce wbijają mu się w krocze i usłyszał chrapliwy, bezwstydnie sugestywny chichot, oszalał ze zgrozy i obrzydzenia. Pchnął pijaną kobietę z całej siły, zobaczył jeszcze, jak bezczelny uśmiech znika z jej twarzy, zastąpiony wyrazem szoku i oburzenia, a potem obrócił się na pięcie i popędził do drzwi. Jeśli myślał, że Fane'owie puszczą ten incydent w niepamięć, bardzo się pomylił. Na odwet rozwścieczonej Sereny nie trzeba było długo czekać. Jeszcze tej samej nocy musiał wyjechać z Rottingdean, po kryjomu, jak gdyby rzeczywiście zrobił coś złego. Ale tylko w ten sposób zdołał uniknąć konfrontacji z policją. Serena nie żartowała, grożąc, że złoży doniesienie, i chociaż oskarżenia, które miotała, to były wierutne kłamstwa, policja prawdopodobnie dałaby im wiarę. Ostatecznie, lady Fane należała do arystokracji i była członkinią miejscowej śmietanki towarzyskiej, a Chico – cóż, Chico był przybłądą, dzikusem ze slumsów. W konfrontacji nie miałby szans. Zaciskając zęby z bezsilnej wściekłości, pozwolił, żeby Eduardo wpakował go do samochodu, który przysłała lady Catherine. Wielki, czarnoskóry mężczyzna zawiózł go na lotnisko i osobiście dopilnował, żeby wsiadł do pierwszego samolotu lecącego za ocean. Wcisnął mu do ręki plik banknotów, mówiąc, że to są pieniądze na dalszą część podróży. Były to jedyne słowa, jakie wypowiedział podczas długich czterech godzin, które spędzili razem. Chico wziął pieniądze, wsiadł do samolotu i obiecał sobie, że musi zapomnieć o tym, co przeżył w Rottingdean. Ale nie potrafił. Wciąż myślał o Elizabeth, o słodkiej, dobrej i wrażliwej Liz, która została w tym strasznym domu, u tych chorych ludzi, którzy jakimś nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu byli jej rodzicami... Czuł, że pięści same mu się zaciskają, a górna warga unosi w zwierzęcym grymasie wściekłości. Powinien być przy niej, bronić jej. Kto wie, co mogło ją spotkać w tym gnieździe zboczeńców?

Samolot leciał nad Atlantykiem, a Chico usiłował odzyskać spokój. Powiedział sobie twardo, że póki co, nie ma sensu marzyć o wyciągnięciu Liz z Rottingdean. Sam musi najpierw stanąć na nogi, żeby mieć cokolwiek do zaoferowania tej dziewczynie. Potrzebował kilku miesięcy, żeby się usamodzielić. Ważne, żeby w tym czasie nie stracić z nią kontaktu. Postanowił, że gdy tylko znajdzie się w domu, napisze do niej list. Wy tłumaczy swoje nagłe zniknięcie i poprosi o numer telefonu. Chciał z nią porozmawiać, ale telefonowanie na numer rezydencji w Rottingdean zupełnie nie wchodziło w grę. Musieli ustalić dyskretny sposób porozumiewania się, a potem będzie już z górki.

List wysłał już nazajutrz, ekspresem, pocztą lotniczą, i z niecierpliwością czekał na odpowiedź. Ale dni mijały, a ta nie nadchodziła, więc wysłał jeszcze jeden list. A potem następny. I kilka innych. Te także pozostały bez odpowiedzi. Kiedy Eduardo wrócił wreszcie z Rottingdean, Chico zdobył się na odwagę i zapytał go o Elizabeth. Rozmowa była krótka. Tak, młoda lady Fane żyła i miała się dobrze. Nie, nie

zachorowała ani nie wyjechała za granicę. I nie, nie przekazała Eduardowi żadnej wiadomości dla Chica. Trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy - Liz po prostu go skreśliła. I nawet nie raczyła powiadomić go o tym fakcie.

Nadzieja zgasła, zdławiona przez gorycz i niesmak. A więc dla niej też był nikim. Prawdopodobnie uwierzyła w ohydne, kłamliwe oskarżenia, którymi obrzuciła go Serena. A może po prostu bawiła się jego kosztem tak długo, aż ją to znudziło? Tak czy owak, z rodziną Fane'ów nie chciał mieć nic wspólnego. Żywił szczerą nadzieję, że już nigdy, przenigdy nie zetknie się ani z jaśnie państwem, ani z ich córeczką, która okazała się tyleż urocza, co fałszywa.

Minęło dwanaście długich, spokojnych lat. Chico, bez reszty zajęty końmi i sportową karierą, zdołał wyrzucić z pamięci to, co wydarzyło się w Rottingdean.

Ale dzisiaj przeszłość znów ożyła. Powinien był to przewidzieć - świat, ostatecznie, jest mały, i ludzie zawodowo zajmujący się tak elitarnym sportem jak gra w polo, musieli w końcu na siebie wpaść. Mógł się domyślić, że śliczna, rudowłosa Liz nie zrezygnuje ze swojej fascynacji końmi. Przeczuwał przecież, że ta dziewczyna zajdzie daleko. Miała nieprzeciętny talent. Ale do głowy mu nie przyszło, że będzie tak bezczelna, by przyjechać na jego ranczo. Jeśli miałyby za grosz przyzwoitości, odmówiłaby. Cóż, widocznie ją przecenił. Niedaleko padło jabłko od jabłoni; Elizabeth musiała być równie wyrachowana, jak jej rodzice. A jeśli tak, to z pewnością nie przyjechała tutaj tylko po to, żeby udoskonalić swoje umiejętności w grze w polo. Dlaczego więc postanowiła wziąć udział w szkoleniu? Chico zmrużył oczy i zacisnął dłonie w pięści. Pozna prawdę. I z całą pewnością nie pozwoli, żeby ta dziewczyna po raz kolejny wystrychnęła go na dudka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Wiem, czego ci potrzeba, mój piękny. - Liz uniosła ręce, podrapała konia pomiędzy uszami, pogładziła kark i rozmasowała potężne, spracowane mięśnie piersiowe. Villemo zarżał cicho i trącił nosem ramię swojej pani. Jego ciemna sierść była wilgotna, pozlepiana od potu. - Najpierw cię porządnie wytrę, a potem zastosujemy zimne kataplazmy na te twoje obolałe nogi.

- Czy ja też mogę dostać zimne kataplazmy? Najlepiej na całe ciało. - Danny stanęła w drzwiach boksu i, widowiskowo słaniając się na nogach, dojrzała do wielkiej beli siana leżącej pod ścianą, po czym osunęła się na nią z jękiem. - Jak ty to robisz, że wytrzymujesz ten upał? Ja się czuję tak, jakby mnie ugotowano żywcem. Umieram.

Liz sięgnęła do przepastnej torby, wyjęła z niej litrową butelkę schłodzonej wody mineralnej i bez słowa rzuciła ją przyjaciółce. Ta zerwała się na równe nogi, chwyciła butelkę w locie i wypila duszkiem połowę zawartości.

- Bóg ci zapłać, dobra kobieto - wysapała, ocierając usta.

- Chcesz miętówkę? - Liz nadal grzebała w torbie.

- Pewnie, że chcę.

- Nie mówiłam do ciebie, tylko do konia.

- Ładne rzeczy! - parsknęła Danny. - Ja tu umieram, a ty sobie gadasz z koniem. Coś mi się zdaje, że tobie też nie posłużyło pierwsze spotkanie z brazylijskim słońcem.

- Cóż, to możliwe - powiedziała Liz z roztargnieniem. Nawet najbliższej przyjaciółce nie zamierzała wyjawiać, że kilkugodzinny trening w czterdziestostopniowym upale nie zmęczył jej tak jak stres, który odczuwała przez cały ten czas, czekając na pierwszą po latach konfrontację z Chikiem. Ale godziny mijały, a on się nie pojawiał. Pierwszy trening, podczas którego kursanci mieli zapoznać się z terenem i z miejscowymi końmi, poprowadziło dwoje pracowników rancza - szczupła kobieta o krótko ostrzyżonych włosach i indiańskich rysach oraz Latynos, który miał chyba ze dwa metry wzrostu i musiał ważyć dobre sto kilo, lecz mimo to trzymał się w siodle z niebywałą gracją.

Liz robiła, co mogła, żeby opanować rozhukanego, zdezorientowanego nowym otoczeniem Villema, jednocześnie słuchając wskazówek trenerów, ale nie mogła w stu procentach skoncentrować się na ćwiczeniach. Coś kazało jej rozglądać się czujnie dookoła, coś sprawiało, że serce zamierało w niej za każdym razem, gdy na horyzoncie pojawiała się męska postać, a niesamowite napięcie raz po raz przeszywało ją dreszczem, lodowatym mimo upału. Zupełnie, jakby robiła coś złego i mogła w każdej chwili zostać przyłapana na gorącym uczynku...

Nie pomagało mocne postanowienie, że weźmie się w garść. Nie pomagało tłumaczenie sobie, że ma prawo tu być, na tej samej zasadzie jak pozostała dziewiętnastka kursantów. Nie pchała się przecież na ranczo Fernandez, została zgłoszona

przez swoją uczelnię, a jej uczestnictwo zaakceptowane przez samego Chica. Dlaczego więc czuła tak wielką treść? Dlaczego ta sytuacja tak bardzo ją przytłaczała?

Nie, poprawiła się. To nie obecna sytuacja ją przytłaczała, tylko przeszłość. Rozmowa, której nie dokończyli. Wyznanie, które nie zostało ujęte w słowa. Pocałunek, którego nie było... I długie dwanaście lat milczenia. Czy była wciąż jeszcze zakochana w Chiku, czy tylko emocjonalnie przywiązana do wspomnienia o osiemnastoletnim, milkliwym wyrostku, który kochał konie? Wiedziała, że nie odpowie sobie na to pytanie, dopóki nie spojrzy w oczy mężczyźnie, którym Chico Fernandez był dzisiaj.

Chwila, gdy miała stanąć z nim twarzą w twarz, zbliżała się nieubłaganie. Liz panicznie się jej bała... i nie mogła się jej doczekać.

Napięcie opadło dopiero, kiedy trenerzy obwieścili koniec ćwiczeń. Kursanci, którzy przywieźli własne konie, musieli odprowadzić je do boksów i oporządzić na noc według własnego uznania, a ci, którzy jeździli na miejscowych wierzchowcach, nie mieli więcej obowiązków – chyba że chcieli pomóc stajennym. Liz nie miała pojęcia, jak bardzo zmęczył ją ten dzień, dopóki nie zsiadła z konia i nie zaprowadziła go w cieniste zacisze boksu, pewna, że w ciągu najbliższych kilkunastu godzin będzie miała spokój. Chico nie pojawi się przed porannym treningiem; był wszak milionerem i słynnym na cały świat sportowcem, nie miała wątpliwości, że wieczory spędza, zajmując się rzeczami o wiele ciekawszymi niż inspekcje stajni.

– Nad czym tak dumasz? – Danny podeszła do przyjaciółki, bezceremonialnie wyjęła jej z rąk opakowanie miętówek i wrzuciła sobie do ust trzy sztuki.

– Ja? – Liz zamrugowała, jak wyrwana ze snu. – O niczym nie myślę, po prostu dopiero do mnie dotarło, że jestem piekielnie zmęczona. Mam nadzieję, że naprawdę w ciągu najbliższych dni przywykniemy do tego piekielnego klimatu, jak nam obiecywali trenerzy. Na razie jest mi tak gorąco, że chyba się zaraz roztopię.

– Na szczęście nie tylko klimat jest tu gorący – rzuciła Danny, ssąc cukierki.

– Co masz na myśli? – Liz odstawiła torbę z przyborami, a potem ściągnęła przez głowę przeпоcony top i zaczęła się mocować z zapięciem bryczesów.

– Naprawdę nie wiesz czy tylko udajesz? – Uniosła brwi blondynka. – Widziałas chyba facetów, którzy kręcą się po ranczu? Zwykli stajenni wyglądają tu jak męscy modele, ale to jeszcze nic, bo słyszałam, że jutro zaczyna się tu zgrupowanie zawodowej drużyny polo. To dopiero będzie ucztą dla naszych pięknych oczu!

– Danny, powściągnij swój zapał. – Liz zrzuciła buty do konnej jazdy i teraz szamotała się, usiłując ściągnąć bryczesy, które dosłownie przykleiły się do jej nóg. Była mokra od potu. – Kurs Fernandez'a nie należy do łatwych. Moim zdaniem powinniśmy przede wszystkim skupić się na treningach, jeśli chcemy dostać dyplomy. Słyszałam, że jedna trzecia kursantów odpada już w pierwszym tygodniu.

– Ale z ciebie sztywniara. – Danny potrząsnęła głową, komicznie przewracając oczami. – Zapięta pod szyję panienska z dobrego domu!

– No, faktycznie, jestem zapięta pod szyję, co widać na załączonym obrazku. – Liz parsknęła śmiechem, po czym, nareszcie oswobodzona z mokrego od potu ubrania, obróciła się w płynnym piruecie. Czarna sportowa bielizna podkreślała mleczną karnację jej skóry, jeszcze nieozłoconej brazylijskim słońcem. – Uf, co za ulga – do-

dała, unosząc twarz ku małemu okienku umieszczonemu pod sufitem boksu, skąd dolatywały leciutkie podmuchy wieczornej bryzy, niosącej zapowiedź nocnego chłodu. – Myślisz, że bardzo naruszę regulamin, jeśli dokończę pracę w tym stroju?

– Myślę, że popełnisz poważne wykroczenie, siostró – zawyrokowała Danny, robiąc srogą minę. – Wiesz chyba, że jesteśmy w zakonie o surowej regule i nie wolno nam odsłaniać grzesznego ciała! Ale tym razem chyba ujdzie ci to na sucho, bo oprócz mnie i konia nikt nie wie, że zgrzeszyłaś. Stajnie o tej porze są zupełnie puste, jeśli nie liczyć ich czworonożnych lokatorów.

– Dziękuję za wyrozumiałość dla mojej słabości, siostró. – Liz parsknęła śmiechem. – Obiecuję, że za pokutę zrobię ci masaż pleców, kiedy już skończę zajmować się koniem.

– Trzymam cię za słowo, siostró. – Przyjaciółka podniosła się i otrzepała dżinsowe szorty. – Pójdę teraz do naszej kwatery, wezmę prysznic i będę czekała na ten masaż. Po drodze zaniosę twoje siodło do magazynu, żeby zrobić dobry uczynek.

Liz została sama, jeśli nie liczyć koni, które przytupywały w boksach, chrupały obrok, posapywały leniwie i z rzadka rżały cicho, jak gdyby chciały się przekonać, że żadnego z nich nie brakuje w stajni. Zanurzyła dłonie w chłodnej, pachnącej mentolem maści i zaczęła nacierać mięśnie nóg ogiera. Pracowała szybko i zręcznie, ciesząc się swobodą niemalże nagiego ciała. Obecność koni dawała jej poczucie bezpieczeństwa, a cisza koła napięte nerwy. Sama nie wiedziała, kiedy zaczęła śpiewać – po cichu nucić starą celtycką melodię.

Uwielbiał zapach stajni. Może było to ekscentryczne upodobanie, ale nie zamierzał nikomu się z niego tłumaczyć. Dość, że musiał wytrzymywać przyciężki zapach perfum i wód kolońskich podczas ciągnących się w nieskończoność wernisaży, koktajli, przyjęć i bali charytatywnych, od uczestnictwa w których nie dał rady się wykręcić. Kiedy był u siebie, robił to, co lubił. Oczywiście, najpierw musiał uporać się z biurową pracą i wykonać chyba z miliard niecierpiących zwłoki telefonów, ale teraz, gdy na zachodnim niebie płonąła wieczorna łuna, miał w końcu czas, żeby zajrzeć do swoich koni. Po cichu uchylił drzwi stajni, bez dźwięku wsunął się do środka. Na dzisiaj miał dość rozmów, zgiełku i zamieszania. Tęsknił za prostotą, ciepłem i spokojem, jakie dawała bliskość koni.

– Cholerne cycki! Dlaczego Bóg mnie nimi pokarał?!

Zamarł w pół kroku, słysząc stłumione przekleństwa dobiegające z jednego z boków. Zza ażurowych, drewnianych drzwi widać było jasne i smukłe linie, w których ze zdumieniem rozpoznał zarysy niemalże nagiego, dziewczęcego ciała.

Jego pierwszą myślą było, że z cyckami nieznajomej dziewczyny absolutnie wszystko jest w porządku. Fakt, że nie bardzo chciały się zmieścić pod błękitną bluzeczkę z krótkim rękawem, którą usiłowała wciągnąć przez głowę, ale to dlatego, że prawdopodobnie kupiła za mały rozmiar; naprawdę nie rozumiał, jak mogła za swój błąd winić parę rozkosznie kształtnych, jędrnych piersi, kipiących mlecznobiałą, ciepłą miękkością z miseczek skromnego, czarnego stanika. Zagapił się jak uczeń, ale po chwili ze złością potrząsnął głową. Niech to licho porwie! Nie był jakimś zboczonym podglądaczem, tylko poważnym, ponad trzydziestoletnim facetem

z wielomilionowym majątkiem, kwitnącą karierą i mnóstwem absorbujących zajęć. Przyszedł do stajni, żeby sprawdzić, jak się miewa koń, który doznał kontuzji podczas ostatniego meczu; nie przypuszczał, że zastanie tutaj kogokolwiek z dwudziestki nowych kursantów.

Co ta dziewczyna robiła przy koniach o tak późnej porze? Dlaczego jeszcze pracowała? Była albo ostatnią niedołęgą, i należało wysłać ją do domu przy najbliższej okazji, albo... rzadką perłą, kimś, kto tak jak on kochał i rozumiał konie. Zaintrygowany, chrząknął głośno, dając kursantce czas, żeby skończyła się ubierać, a potem powolnym krokiem ruszył w stronę boksu, z którego dobiegały gorączkowe szelesty, gdy mocowała się z ubraniem.

Był w połowie drogi, kiedy dziewczyna, najwyraźniej zaniepokojona odgłosem zbliżających się kroków, wychyliła głowę zza przegrody boksu. Zdążył dostrzec chmurę kręconych włosów o intensywniej barwie zachodzącego słońca i poczuł się tak, jak gdyby ktoś bez ostrzeżenia zacisnął na jego sercu stalową, rozpaloną pięść.

Elizabeth Fane. Rozpoznałby te ogniście rude loki zawsze i wszędzie. Natomiast bujne piersi, apetyczne jak dwa dojrzałe grejpfruty, stanowiły miłą nowość. Szczupłutka nastolatka, którą tak dobrze pamiętał, była płaska jak deska. Teraz widział przed sobą młodą kobietę w pełni rozkwitu. Kształty jej ciała, majaczące za częściowo ażurową konstrukcją boksu, przywiodły mu na myśl Wenus z obrazu Botticellego. Była jasna, po dziewczęcemu smukła i cudownie zaokrąglona dokładnie tam, gdzie trzeba...

Nie potrafił odwrócić wzroku. Nie mógł nic poradzić na to, że widok jej nagości wzburzył w nim krew, obudził jakąś dziką, pierwotną drapieżność.

- Kto tam? - zawołała dziewczyna śpiewnie. - Danny, to ty?

- Nie, to nie ona. - Nagły przyływ emocji sprawił, że jego głos zabrzmiał w półmroku stajni jak głucho, złowrogie warknięcie. Wystarczyło, że Liz się odezwała, a przeszłość ożyła i skoczyła mu do gardła jak wampir spragniony jego krwi. Czy naprawdę myślał, że zostawił za sobą tę ponurą historię, jaka wydarzyła się w Rottingdean przed dwunastu laty? Jeśli tak, to się mylił. Znowu umierał z zażenowania i bezsilnej złości, jak wtedy, gdy stał się ofiarą wyuzdanych apetytów Sereny i wykalkulowanej, przyzwalającej bierności jej męża pijaczyny. Znowu czuł ćmiący, uporczywy ból, ten sam, który prześladował go przez długie miesiące po ucieczce z tego okropnego miejsca, kiedy czekał na jakąkolwiek wiadomość od Elizabeth, a ona... po prostu o nim zapomniała. Wspomnienia obudziły gniew, tak potężny, że jego samego to zaskoczyło.

- Proszę natychmiast wyjść z boksu - rzucił, chowając ręce do kieszeni. Dłonie zaciskał w pięści tak mocno, że bolały go palce.

- Chwileczkę! Jestem zajęta - odpowiedziała tym samym śpiewnym tonem. Zobaczył, jak jej długie, smukłe nogi znikają w szerokich nogawkach granatowych spodni alladynek. Bose stopy wsunęła w klapki z wąskich, misternie splecionych skórzanych pasków, a potem pochyliła się i zaczęła pakować słoiki z maścią, bandaże i inne utensylia do wielkiej torby.

- Wolałbym nie musieć powtarzać. - Gniew potężniał w nim jak wzbierająca nawałnica. Sam siebie nie poznawał. Co ta dziewczyna z nim robiła? Wystarczyło, że pojawiła się w zasięgu jego wzroku, a tracił nad sobą kontrolę. Musiał wziąć się

w garść. Powinien traktować ją jak każdego innego kursanta... no dobrze, przecież właśnie tak postępował! Miał święte prawo dowiedzieć się, co robiła o tej porze w stajni. Pielęgnacja koni była częścią szkolenia.

- Czy mógłby pan nie podnosić głosu? - Dziewczyna nadal poruszała się płynnie i niespiesznie, jak gdyby jego zniecierpliwienie nie robiło na niej najmniejszego wrażenia. - Mój ogier, Villemo, jest bardzo wyczulony na nastroje; nerwowa atmosfera zupełnie mu nie służy.

Ta uwaga, rzucona z całkowitym spokojem, była jak kubeł zimnej wody. Po pierwsze, Elizabeth najwyraźniej go nie poznała. A może ich spotkanie po latach było jej zupełnie obojętne? Po drugie, musiał z niechęcią przyznać, że miała rację. Koń, młody, mocny gniadosz, zaczął niespokojnie przestępować z nogi na nogę i rzucać łbem, kładąc uszy po sobie.

Chico zmełł w ustach paskudne przekleństwo. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zachował się tak bezmyślnie w stajni. Jeszcze chwila, a swoim zachowaniem wywołałby panikę wśród koni. Te bardziej wrażliwe mogłyby się spłoszyć, a to groziło kontuzjami, nawet tak poważnymi, jak złamanie nogi. Gdyby którykolwiek z kursantów pozwolił sobie na taką niefrasobliwość, jeszcze tego samego dnia siedziałby w samolocie, odesłany z powrotem do domu. Chico poczuł, że jest mu wstyd. A potem zapomniał o wszystkim, bo zaintrygował go koń, którego Liz przywiozła na szkolenie.

Piękne zwierzę. To mógł być najwyżej czterolatek, wierzchowiec jeszcze nie do końca wyszkolony, ale na pewno z ogromnym potencjałem; innego by nie wybrała. O Elizabeth Fane można było powiedzieć różne rzeczy, ale jedno było pewne - na koniach znała się jak mało kto. Tego popołudnia, przekopując się przez papierzyska w swoim gabinecie, skrupulatnie sprawdził jej referencje. Wybrała bardzo ambitne studia, co go zupełnie nie zdziwiło, i ukończyła czwarty rok z najlepszą średnią, jaką kiedykolwiek widział... a dokładniej, jaką widział od czasu, gdy sam studiował ten kierunek. Przywiozła ze sobą ogiera, a więc prawdopodobnie zamierzała pójść w ślady swojej babki i hodować konie w Rottingdean. To akurat pochwalał, bo Catherine była jedyną przyzwoitą osobą w rodzinie Fane. Wnuczka, niestety, nie odziedziczyła po niej szlachetnego charakteru, ale rękę do koni - owszem.

Nie czekając dłużej, wszedł do boksu i, ignorując dziewczynę, podszedł do konia. Tak, zwierzak był fantastyczny. Harmonijnie zbudowany i imponująco umięśniony, musiał być szybki i zwrotny, a to stanowiło kartę atutową na boisku polo. W dodatku był wrażliwy, ale nie przesadnie nerwowy. Kiedy mężczyzna przemówił do niego cicho, spokojnym gestem wyciągając rękę, żeby podrapać go między uszami, koń uspokoił się w jednej chwili i, rżąc z zadowolenia, pochylił łeb, dopominając się dalszych pieszczot.

Liz zastygła w bezruchu, pochylona nad torbę ze sprzętem. Pozwoliła, żeby chmura rudych włosów opadła jej na czoło i zza ich zasłony ostrożnie popatrzyła na człowieka, który głąskał jej nieufnego ogiera z taką swobodą, jakby znał go od pierwszych dni życia.

On, ona i konie. Sytuacja była tak znajoma, że Liz poczuła, jak wzruszenie ściska jej serce. Przez chwilę zamarzyła, żeby mogło być między nimi dwojgiem tak, jak przed dwunastu laty. Zanim z powodu, którego dotąd nie rozumiała, on wszystko ze-

psuł, rozbudził jej uczucia, a potem boleśnie zawiódł nadzieje. Gdyby można było cofnąć czas...

Ale jedno spojrzenie na dawnego przyjaciela wystarczyło, żeby zrozumiała, że powrót do przeszłości nie jest możliwy.

Chico Fernandez zmienił się, i to bardzo. Nie był już szczupłym nastolatkiem, który na wszystkich patrzył spode łba, kryjąc wrażliwą naturę za nieprzystępną, ponurą miną. Liz miała przed sobą dorosłego mężczyznę – najbardziej fascynujący egzemplarz, jaki w życiu widziała. Czarne włosy splecione w gruby, gładki warkocz odsłaniały pociągłą twarz o twardych, idealnie spokojnych rysach. Upływający czas sprawił, że domieszka indiańskiej krwi stała się bardziej widoczna – można ją było dostrzec w migdałowym kształcie powiek, w zmysłowym, egzotycznym wykroju ust, w ostro zaznaczonym kształcie kości policzkowych. Ciemna lniana koszula nie maskowała szerokich ramion i muskularnego torsu, a materiał znoszonych dżinsów bardzo interesująco układał się na wąskich biodrach, podkreślając pośladki i uda, idealnie wyrzeźbione dzięki tysiącom godzin spędzonych w siodle. Każdy jego gest emanował niezmaconą pewnością siebie. Widać było, że ten człowiek odnalazł swoje miejsce na ziemi i żył, działał – a nawet oddychał – w pełnej harmonii ze światem.

Aura spokoju, siły i zdecydowania, która go otaczała, przyciągała ją jak magnes, fascynowała nawet bardziej niż jego dzika, męska uroda. Nie, stanowczo nie mogło być powrotu do tego, co łączyło ich przed laty – do nieśmiałej, platonicznej przyjaźni. Bo ona, Elizabeth, też się zmieniła. Nie była już dziecinną, nieśmiałą piętnastolatką, tylko dojrzałą kobietą. Wystarczyło te kilka sekund, kiedy przypatrywała mu się ukradkiem, żeby jej ciało zareagowało zupełnie jednoznacznie na jego bliskość.

Zapra gnęła go. Tak bardzo, jak tylko kobieta może pragnąć mężczyzny. Pragnęła go tak, jak ziemia pragnie deszczu, chciała się mu poddać, jak ocean poddaje się magnetyzmowi księżyca, chciała oddychać nim jak powietrzem... i przeklinała się za to. Jej niezależna, dumna dusza jeżyła się jak rozwścieczony kot. Była naelektryzowana jak burzowa chmura. Nienawidziła Chica Fernandez. Dwanaście lat temu bezlitośnie zabawił się jej kosztem. Okłamał ją, a potem po prostu porzucił, beznamiętnie, jak wyrzuca się niepotrzebną rzecz. No dobrze, może źle go oceniała, może po prostu od początku była mu obojętna – chuda smarkula, która po prostu plątała się po stajni, więc gadał z nią, nie mając nic lepszego do roboty? Nie mogła winić go za to, że po prostu pewnego dnia o niej zapomniał.

Cóż, nie miała zamiaru wylewać przed nim zadawnionych żalów. Ale to nie znaczyło, że była gotowa mu wybaczyć. Co to, to nie. Nigdy.

Podczas gdy kobiecy instynkt i urażona duma walczyły w niej o lepsze, zwyciężył zdrowy rozsądek. Przyjechała tu po to, żeby zdobyć dyplom i uratować podupadającą rodzinną posiadłość przed zlicytowaniem. Chico Fernandez był instruktorem, a ona – kursantką. To wszystko. Przeszłość należało oddzielić grubą kreską, zignorować sprzeczne emocje. Liczyła się tylko wiedza, jaką mogła zdobyć na ranczu Fernandez. Dyplom przez niego sygnowany był kluczem do jej przyszłości, ale na to musiała zapracować. Zbytня ekscytacja jego osobą byłaby powtarzaniem błędu, który już raz popełniła. A ta droga prowadziła donikąd.

– Wybacz – uśmiechnęła się lekko, niemalże obojętnie, wstając i zarzucając sobie torbę na ramię. – Koń ciężko zniósł pierwszy dzień ćwiczeń, a nie możemy sobie po-

zwolić na spadek formy. Musiałam zadbać o to, żeby przez noc odzyskał siły. A tak w ogóle... to miło cię znowu widzieć, Chico.

Musiał użyć całej siły woli, żeby odpowiedzieć jej równie chłodnym, bezosobowym uśmiechem. Wystarczyło, że spojrzał w te niesamowite szarzielone oczy, ocienione gąszczem złocistych rzęs, by zrozumieć, że wciąż jest pod jej urokiem. Może teraz bardziej niż kiedykolwiek. We wzroku Elizabeth zobaczył obojętność... a może raczej lodowatą, ledwo skrywaną niechęć. Najwyraźniej żadne z nich nie potrafiło zapomnieć o przeszłości. Liz chowała urazę, to było oczywiste. Czyżby wciąż wierzyła w kłamstwa, które Serena rozgłaszała na jego temat? Prawdopodobnie tak. Do diabła z tym wszystkim! Zacisnął zęby, czując, jak gorycz zalewa mu serce. Niech i tak będzie. Niech Liz ma go za przestępcę i zwyrodnialca. Przyjechała tutaj, a to znaczyło, że swoją karierę stawiała na pierwszym miejscu. Cóż, dla niego też najważniejsza była praca. Oboje powinni się tego trzymać i robić swoje.

- Ciebie też miło widzieć, Elizabeth. - Wyminąwszy ją, pochylił się nad koniem. Rzeczywiście, napracowała się przy nim. Nogi wierzchowca, natarte chłodzącą maseczką, owinięte były cienkim elastycznym bandażem. Bandażowanie nie było łatwe, a jednak Liz poradziła sobie całkiem nieźle. Tylko że „całkiem nieźle”, to było za mało, jak na jego wymagania.

- Odłóż torbę i pozwól tu na chwilę - rzucił przez ramię. - Bardzo dobrze, że postanowiłaś obandażować mu nogi, dzięki temu błyskawicznie wróci do formy po podróży i dzisiejszym treningu. A teraz pokażę ci, gdzie zrobiłaś błąd.

W milczeniu podeszła do konia i uklękła, spod zmarszczonych brwi przyglądając się bandażom. Bezwiednie zagryzała wargę, wzrok miała pełen napięcia i niepokoju.

- Nie denerwuj się, to nic wielkiego. Po prostu... - zaczął i omal nie stracił wątku, kiedy pochyliła się jeszcze bardziej, a włosy spłynęły jej na ramię, odsłaniając delikatny kark i spory kawałek nagich pleców, widoczny w wycięciu koszulki. Skórę miała cudownie jasną, niemalże perłową. Pachniała słońcem, wiatrem i... kobietą.

Pożądanie szarpnęło nim nagle, dźgnęło bezlitośnie niczym ostrogą. Pragnął jej. Wtedy, przed laty, zachwycał go jej niewinny urok, gotów był ją nosić na rękach, postawić na piedestale... Dzisiaj chciał ją widzieć nagą, leżącą na wznak w jego łóżku. Albo tutaj, na słomie.

Nie chciał tych emocji. Własna bezradność wobec nich budziła jego bunt. I gniew. Nie potrzebował, żeby ktoś taki, jak Elizabeth Fane burzył jego spokój. Dlaczego przyjechała tu, żeby go dręczyć?

- Zobacz, prościej i skuteczniej jest założyć bandaż w ten sposób - zaczął szorstko, odwracając od niej wzrok. - Nie dość, że koń miałby większą swobodę ruchu, to jeszcze nie byłoby ryzyka, że zrzuci opatrunek, jeśli zdenerwuje się i zacznie wierzgać.

- Dzięki. - Wciąż na klęczkach, nagle podniosła wzrok, spojrzała mu prosto w oczy i uśmiechnęła się. Nieśmiało, szczerze i bardzo, bardzo ładnie. Nie odpowiedział jej uśmiechem. Nie chciał jej wdzięczności, nie życzył sobie między nimi żadnych ciepłych, przyjacielskich uczuć - to tylko niepotrzebnie komplikowało sprawę.

- Drobiazg - mruknął, siląc się na obojętność. Kiedy się wyprostował, ona wstała

również.

- Strasznie tu gorąco - westchnęła, odgarniając z twarzy wilgotne od potu, rude kosmyki.

- Bez przesady - uciął beznamiętnym tonem. - Temperatura w stajniach jest kontrolowana. Mamy wentylatory, a kiedy normy są przekroczone, włącza się klimatyzacja. Będziesz się musiała przyzwyczaić do tutejszego klimatu... chyba że wolisz wyjechać. Kurs Fernandez'a nie jest obowiązkowy, możesz w każdej chwili zrezygnować. Mamy dwadzieścia osób na liście rezerwowej, każda ucieszy się, jeśli zwolnisz miejsce - dodał twardo.

Liz drgnęła, jak gdyby wymierzył jej policzek. Chico przyglądał jej się z niechętną fascynacją, kiedy uniosła podbródek ruchem, który świadczył o dumie wpisanej w jej geny mocniej niż jakiegokolwiek słowa. Ta dziewczyna była jak klacz pełnej krwi.

- Nie mam najmniejszego zamiaru zrezygnować - wycedziła, patrząc mu prosto w oczy. - Przeciwnie, zrobię wszystko, żeby ukończyć kurs i zasłużyć na twój podpis na dyplomie.

- Cóż, w takim razie powodzenia - nadal się nie uśmiechał. - Nie zatrzymuję cię dłużej, w kantynie zaczęto już wydawać kolację. Zjedz, odpocznij. Jutro rano zbiórka na padoku punktualnie o szóstej i nie radzę ci się spóźnić. Będziesz musiała przywyknąć nie tylko do upału, ale też do wczesnego wstawania, jaśnie panienko - dodał cicho, ale musiała go usłyszeć, bo obróciła się na pięcie i odeszła bez słowa.

Został w stajni. Musiał się uspokoić. Emocje, które nim targały, były po prostu śmieszne. Postanowił, że da sobie pięć minut na powrót do równowagi. Jeśli po tym czasie nadal będzie rozpamiętywał spotkanie z Liz, będzie musiał uznać, że jest po prostu idiotą. Oparł się o ścianę boksu i odetchnął głęboko, raz, drugi, trzeci i... zaklął szpetnie, kiedy zauważył, że na podłodze poniewiera się coś, czego absolutnie nie powinno tu być.

- Liz! Elizabeth Fane!

Była już w połowie drogi do kantyny, kiedy za nią zawołał. Odwróciła się natychmiast, a on bez słowa wyciągnął rękę. Końcami palców trzymał brudny, przeпоcony kawałek materiału, w którym rozpoznała swój top, ten, który zdjęła zaraz po powrocie z zajęć. W głowie miała jeszcze kompletną pustkę, ale już czuła, jak palący rumieniec wstydu barwi jej policzki ciemną czerwień.

- Reguła numer jeden - odezwał się, podchodząc do niej - nie zostawiamy w boksie niczego, co może się okazać niebezpieczne dla koni.

Nie odpowiedziała. Żałowała, że nie potrafi zapaść się pod ziemię.

- Jaśnie panienka, jak widać, przyzwyczajona jest do służby - wycedził, wciskając koszulkę w jej drżące dłonie. - Wiesz, co by się stało, gdyby twój drogocenny ogier zaplątał się w tę szmatkę, którą niefrasobliwie rzuciłaś na ziemię? Mógłby wpaść w panikę albo złamać nogę tak paskudnie, że trzeba by go było uspić.

Wiedziała o tym aż za dobrze. Nie mogła uwierzyć, że zrobiła coś tak niewybaczalnego. Czyżby obecność Chica rozproszyła ją do tego stopnia? Nawet jeśli tak, nie usprawiedliwiała jej to. Zachowała się jak nowicjuszka. Kurs jeszcze na dobre się nie rozpoczął, a ona już popełniła krytyczny błąd... Zgnębiona, zdołała tylko skinąć głową. Zacisnęła palce na koszulce i, ze wzrokiem wbitym w ziemię, czekała na kolejną porcję wymówek. Ale usłyszała tylko oddalające się kroki Chica Fernandez-

za. Została sama.

Co dalej, zastanawiała się gorączkowo, a policzki wciąż paliły ją żywym ogniem. Dostanie nagane? Zostanie wydalona do domu jako pierwsza w tej edycji kursu? Nie, tylko nie to. Dyplom z podpisem Fernandeza był jedynym ratunkiem dla przyszłości Rottingdean.

Jakie to znaczące, wręcz anegdotyczne, pomyślała, wlokąc się do kantyny, obolała, niemal chora ze wstydu. Kiedyś ona była dziedziczką fortuny, członkinią brytyjskiej arystokracji, a on - chłopakiem ze slumsów. Dzisiaj to on miał świat u stóp, a ona potrzebowała jego pomocy. Odkąd jej rodzice sprzeniewierzyli majątek Fane'ów, była... nikim. Nazwisko nic nie znaczyło, jeśli nie szły za nim pieniądze, a Rottingdean stało na skraju bankructwa. Musiała ukończyć kurs Fernandeza. Podniosła głowę i przyspieszyła kroku, obiecując sobie, że kolejnego błędu już nie popełni.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Czego chciał od ciebie wielki wódz? - Danny była tak podekscytowana, że niemal podskakiwała w miejscu. - Gadaj zaraz! Ze szczegółami!

- Mmm. - Liz głęboko zaciągnęła się zapachem, który unosił się znad ogromnego paleniska.

Kantyna na ranczu Fernandezera urządzona była w starej polowej kuchni dla stajennych i dżokejów. Drewniana konstrukcja, licząca sobie ponad sto lat, wciąż była solidna, choć belki stropowe poczerniały od dymu. Dzisiaj ogromne kamienne palenisko zaopatrzone było w system wentylacyjny, a kuchnia - wyposażona w nowoczesne sprzęty. Ale nadal przygotowywano tu, pod okiem Marii, tradycyjne brazylijskie potrawy. Dzisiaj kuchnia serwowała *feijoada* - pikantnie przyprawione danie z fasolą, grillowanych warzyw i wędzonego mięsa, a do tego świeży chleb pieczony z ziołami, imponujący wybór kozich i owczych serów oraz całe góry chrupiącej sałaty. Ci, którzy nie byli gotowi na kulinarne eksperymenty, mogli po prostu wybrać sznyצל z frytkami, ale tych była zdecydowana mniejszość. Nawet kulinarni konserwatyści nie mogli się oprzeć apetycznej woni *feijoady*, podsmażanej na ogromnych patelniach przez zastęp kucharzy. Kursanci, zawodnicy polo, dżokeje i stajenni - wszyscy tłoczyli się w kolejce, czekając, aż będą mogli nałożyć sobie na talerz słuszną porcję brazylijskiego przysmaku.

- To danie pachnie wprost nieziemsko. Czy tutejsi kucharze nie wiedzą, że zawodnicy polo muszą dbać o linię? To, co robią, zakrawa moim zdaniem na sabotaż!

- Nie zmieniaj tematu. - Danny zmarszczyła brwi, ale sama zaczęła węszyć jak ogar. - Widziałam, że rozmawiałas z samym *senhorem* Fernandezem! Co więcej, wszyscy słyszeli, jak zawołał cię po imieniu.

- O rany! - jęknęła Liz z rezygnacją, czując, że znowu zalewa się rumieńcem.

- Nie! - Danny zrobiła chwiejny krok w tył, unosząc dłonie, żeby zasłonić nimi szeroko otwarte usta. Na jej twarzy malował się szok. - Nie mów, że znasz osobiście wielkiego wodza! Dziewczyno, podejrzewałam, że ukrywasz asa w rękawie, ale nigdy bym nie zgadła, że to sprawa takiego kalibru! Gadaj zaraz, od jak dawna się znacie? I... jak blisko się przyjaźnicie?

- Danny, proszę cię, przestań. - Liz, spłoszona, rozejrzała się dookoła, ale nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek przysłuchiwał się ich rozmowie. - Owszem, spotkałam kiedyś Chica... wieki temu. Ale to nie jest ciekawa historia, i nie ma happy endu. Chcesz wiedzieć, o czym rozmawialiśmy? Chico dał mi do zrozumienia, że wątpi, bym była w stanie ukończyć kurs. Jego zdaniem jestem „jaśnie panienką”, która nie zdoła podnieść się z łóżka przed szóstą, żeby stawić się punktualnie na poranny trening!

Na szczęście Danny była bardziej lojalna niż ciekawska. Widząc, że przyjaciółka krzywi usta w wyrazie autentycznego smutku, poniechała pytań, które tak bardzo chciała zadać. Po krótkiej chwili wahania wzruszyła ramionami, a potem klepnęła

Liz w plecy. Mocno, krzepiąco.

- Faceci to w przeważającej większości dupki - oświadczyła bez emocji. - Kto by się nimi przejmował.

- Otóż to, siostrzo. - Liz uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

- Hej, gąski, dość tych pogaduszek! Głodni ludzie czekają, żeby wreszcie coś zjeść po całym dniu ciężkiej, uczciwej pracy. Chcecie porównać wasz manicure albo omówić zalety push-upów? Proszę bardzo, ale nie blokujcie kolejki. - Muskularny brunet o rysach gladiatora i orzechowych oczach zmierzył dwie Brytyjki protekcyjnym spojrzeniem. Czarne włosy miał mokre od potu, a nogi pokryte błotem, piachem i pożółkłymi źdźbłami trawy.

- Hej, przystojniaku, nerwy w konserwy! - Danny obróciła się błyskawicznie, ujęła pod boki i stanęła na wprost mężczyzny, zadziornie unosząc głowę. - To, że w przeciwieństwie do ciebie zdołałyśmy wziąć prysznic i przebrać się w czyste ciuchy, nie znaczy, że nie jesteśmy spracowane. I głodne.

- To może wreszcie ruszycie tyłki i napełnicie sobie talerze, co, gwiazdy? To nie randka, nie każcie wszystkim na siebie czekać.

- Odczep się od naszych tyłków, przyjemniaczku, jeśli nie chcesz, żeby twój własny tyłek wylądował w potrawce - odpaliła Danny. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Liz, krztusząc się śmiechem, pociągnęła ją za rękę.

- Proszę wybaczyć mojej przyjaciółce - powiedziała do mężczyzny, który gapił się na nie obie, tyleż zdumiony, co rozbawiony. - Kiedy jest głodna, robi się niebezpieczna dla otoczenia.

Pięć minut później, wciąż chichocząc jak wariatki, usiadły przy jednym z długich, solidnych stołów. Dach podparty wysokimi słupami chronił jadalnię przed deszczem i palącymi promieniami słońca, a ażurowe ściany sprawiały, że można się było czuć niemalże jak na pikniku.

- Wiesz, z kim zadarłaś? - Liz postawiła talerz pełen parującego, fasolowego gulaszu na drewnianym blacie i upiła solidny łyk zimnego, pianistego *choppe*. - Ten dzikus to Tiago, jeden z najsłynniejszych zawodowych graczy w polo! Jego zdjęcie było na okładce któregoś z ostatnich numerów „Polo Times’a”. Nie chcę cię martwić, ale obiekt ataków wybrałaś naprawdę fatalnie.

- Nie fatalnie, tylko idealnie - blondynka uśmiechnęła się znad kubka pełnego ciemnej, orzeźwiającej *mate* i, mrużąc oczy, posłała mężczyźnie bardzo drapieżne spojrzenie.

Nazajutrz, punktualnie o szóstej rano, Chico zarządził zbiórkę w szeregu na treningowym boisku i przyglądał się w milczeniu, jak każdy z dwudziestu kursantów usiłuje ustawić się na wyznaczonej linii, z mniejszą lub większą wprawą kontrolując swojego wierzchowca. Jedni potrafili utrzymać konie w spokojnym bezruchu, inni walczyli, próbując zmusić je do posłuchu, podczas gdy zwierzęta tańczyły nerwowo i rzucały łbami. To był pierwszy test, ale nie jedyny przewidziany na ten dzień. Zanim słońce, które pojawiło się właśnie ponad zamykającym horyzont ciemnym łańcuchem dalekich gór, stanie w zenicie, jego kursanci przejdą o wiele więcej testów. Za kilka godzin będzie wiedział, kto z nich ma szansę ukończyć szkolenie, a kogo trzeba będzie wysłać do domu. Niewykluczone, że parę osób po prostu zrezygnuje,

może jeszcze dzisiaj, może w ciągu najbliższych dni. Za miesiąc, kiedy gorące lato ustąpi chłodniejszej jesieni, zostaną tylko najlepsi. Pięć, najwyżej siedem osób, które po sześciu tygodniach wyjadą stąd z certyfikatem, wartym tyle, co życiowy sukces w świecie hippiki.

- Dzień dobry państwu. - Choć nie podniósł głosu, rozmowy umilkły, jak ucięte nożem. Dwadzieścia par oczu spoczęło na nim, dwadzieścioro młodych ludzi wyprężyło się w siodłach. Byli skupieni, czujni, gotowi spełnić każde jego polecenie, chętni, żeby dać z siebie wszystko. Uśmiechnął się leciutko, kącikami ust. Już on się postara, żeby mieli okazję dać z siebie wszystko albo jeszcze więcej. - Zaczniemy od prostego treningu kierowania koniem. Jak wiecie, w grze w polo najważniejsza jest szybkość i precyzja. Koń i jeździec muszą stanowić nie tyle zgrany zespół, co jeden organizm. Reagować błyskawicznie i działać w całkowitej harmonii. Chcę zobaczyć, czy potraficie wejść w instynktowny kontakt z wierzchowcem, zrezygnować z wyuczonych zachowań na rzecz naturalnych, odruchowych reakcji. Weźcie się więc w garść, bo zaczyna się jazda bez trzymanki! Zanim zaczniemy, rozsiodłajcie konie. Będziecie dziś jeździć na oklep.

Zobaczył, jak na twarzach niektórych kursantów maluje się bezbrzeżne zdumienie, na innych czyste przerażenie. Tylko jedna osoba uśmiechnęła się szeroko, jak gdyby właśnie dowiedziała się, że wygrała los na loterii.

Liz Fane. Mógł się tego domyślić. Pamiętał przecież, że uwielbiała wskakiwać na grzbiet pierwszego lepszego konia, który skubał trawę na pastwisku, chwytając się grzywy i skłaniać do dzikiego galopu, wbijając gołe pięty w jego boki. Świetnie się czuła, jeżdżąc na oklep. W kontakcie z końmi zachowywała się tak intuicyjnie, że siodło, strzemiona i uprząż zdawały się tylko jej przeszkadzać. Nic dziwnego, że teraz cieszyła się jak wariatka. Ciekawe, co powie za dwie godziny, kiedy pierwszy trening dobiegnie końca. Raczej nie będzie świeżutka niczym stokrotka, tak jak teraz, z włosami splecionymi w jakiś zadziwiająco zawity węzeł, w białej koszulce bez rękawów, ale za to z grzecznym, wykrochmalonym kołnierzykiem. Przez chwilę - na tyle długą, że zdążył się zirytować - nie mógł oderwać wzroku od rzędu drobnych, perłowych guziczków strzegących dekoltu. Zapięta pod samą szyję, wyglądała jak jakaś księżniczka. Cóż, na ranczu Fernandeza nie było miejsca dla księżniczek. Im prędzej panna Fane to zrozumie, tym lepiej.

Trening był morderczy. Chico wykrzykiwał komendy, zadaniem kursantów było kierowanie końmi tak, by polecenia wykonane zostały natychmiast. Galop! Stęp! Obrót w prawo! Kłus! Obrót w lewo! Naprzód! Stop! - rozkazy padały jeden za drugim, w zwodniczym, zmiennym rytmie. Tak jak podczas prawdziwego meczu polo, nie można było sobie pozwolić na najmniejszą chwilę dekoncentracji. Kursanci musieli nie tylko wykazać się znakomitym panowaniem nad wierzchowcami, ale też... zrobić wszystko, żeby nie stratować się nawzajem na niewielkim terenie boiska.

Nie minęło pół godziny, a wszyscy byli mokrzy od potu i z trudem łapali oddech.

- Myślicie, że to jest trudne ćwiczenie? - Chico splótł ramiona na piersi. - Myślicie, że właśnie umieracie ze zmęczenia i nie dacie rady wytrzymać ani chwili dłużej? Mam dla was dwie wiadomości. Dobra jest taka, że przetrwaliście już jedną czwartą dzisiejszego porannego treningu. A ta druga, że jeśli ktoś z was chce zejść z boiska przed czasem, może to zrobić na dwa sposoby. Albo na noszach, albo z bi-

letem powrotnym do domu.

Kiedy równo półtorej godziny później ogłosił koniec zajęć, nikt się nie odezwał, nikt nie wiwatował, nikt się nawet nie uśmiechnął. Chico patrzył bez emocji, jak dwudziestu młodych ludzi zsiada z koni, ostrożnie, żeby nie nadwerężyć obolałych mięśni.

- Macie godzinę przerwy. Kiedy oporzędzicie konie, zjedzcie porządne śniadanie. Za piętnaście minut kantyna zacznie wydawać kawę i ciepłe dania. Potem sprawdźcie grafik, dowiedcie się z niego, jakie zajęcia czekają was jeszcze dzisiaj. Wieczorem wywieszę listę osób, które przeszły wstępne eliminacje. Ci, którzy się na niej nie znajdują, będą mogli już jutro wrócić do domu.

Odwrócił się na pięcie, ale kątem oka zobaczył jeszcze, jak Liz pomaga zejść z bieżni jasnowłosej dziewczynie, która pod koniec treningu spadła z konia, i to tak nieszczęśliwie, że prawdopodobnie skręciła sobie nogę w kostce. Uniósł brew, posyłając dwóm Brytyjkom dyskretne spojrzenie. Nie spodziewał się, że panna Fane okaże się taka koleżeńska... tyle że jej serdeczny gest niewiele mógł pomóc blondynce. Dziewczyna, niestety, jeszcze dzisiaj dowie się, że wraca do domu. Kontuzja dyskwalifikowała ją; nie było sensu nawet sprawdzać, jak sobie poradzi z kolejnymi zadaniami przewidzianymi na ten dzień.

Cóż, życie nie rozpieszcza. Blondynka miała pecha, ale to nie był jego problem; prowadził jedno z najbardziej elitarnych szkoleń hippicznych na świecie, a nie turnusy rehabilitacyjne. I nie zamierzał nikomu matkować. Zamyślony, wrócił do głównego budynku, w kuchni nalał sobie kawy i zwędził kilka jeszcze gorących ciasteczek wprost z blachy. Dzisiaj Maria upiekła jego ulubione, z orzechami i skórką pomarańczową. Tak zaopatrzony, wdrapał się po schodach do swojego gabinetu, umościł wygodnie za biurkiem i włączył komputer. Kiedy na ekranie wyświetliła się lista kursantów, zabrał się do pracy. Po dwóch godzinach treningu miał sporo spostrzeżeń na temat każdego z nich.

Nie minęło dziesięć minut, gdy usłyszał ciche pukanie do drzwi.

- Proszę - zawołał odruchowo, pewien, że w progu zobaczy Marię. Kiedy zobaczył szczupłą dziewczynę z chmurą rudych włosów nad czołem, coś targnęło się w jego piersi.

Jak gdyby zapomniał na śmierć, że ona jest tutaj, na jego ranczu, a nie w dalekiej Szkocji.

Jak gdyby przez cały czas na nią czekał.

- Chciałabym... prosić cię o chwilę rozmowy. - Zrobiła krok w jego stronę i stanęła, wyraźnie niepewna.. Choć starała się nie pokazać po sobie zdenerwowania, głos drżał jej lekko.

- W porządku. - Podniósł się zza biurka. - Chwilę mogę ci poświęcić, ale więcej czasu nie mam. Ty zresztą też nie.

Nie chciał, żeby zabrzmiało to aż tak obcesowo, ale kiedy zobaczył, że jej biała koszulka nie jest już zapięta pod szyję, tylko rozchylona tak, by można było dostrzec wąskie zagłębienie między piersiami, poczuł, że ogarnia go bezsilna frustracja. Liz przyszła tu, żeby go kusić? Zamierzała się nim zabawić, bezwstydnie i cynicznie, jak kiedyś jej matka? Cóż, nie był już dzikim, lęklwym osiemnastolatkiem. Lady Fane powinna uważać, żeby nie wpaść we własne sidła.

- To naprawdę nie potrwa długo - zapewniła go, przestępując z nogi na nogę. - Muszę pomówić z tobą o wynikach dzisiejszego treningu.

- Nie masz powodu do niepokoju. - Splótł ramiona na piersi. - Po co ta fałszywa skromność? Doskonale wiesz, że poszło ci świetnie. Twój koń jest...

- Nie chodzi o mnie - wpadła mu w słowo. - Moja koleżanka ze studiów miała podczas treningu wypadek. Uważam, że to nie powinno rzutować na jej ocenę.

- Wypadek? - prychnął, cynicznie krzywiąc usta. - Powiedz raczej, że zaliczyła głębę. Twoja koleżanka jeszcze dzisiaj dostanie bilet powrotny do domu. Lista rezerwowa jest pełna; zbyt wiele osób czeka na swoją szansę, żeby osoba, która nie potrafi utrzymać się w siodle, zajmowała miejsce na kursie.

- Muszę nalegać, żebyś przemyślał swoją decyzję - powiedziała sztywno, robiąc kolejny krok w jego stronę.

- Dlaczego? Boisz się, że nie wytrzymasz sześciu tygodni bez przyjaciółki? Danny wyjedzie, pogódź się z tym. Koniec dyskusji.

- Koniec dyskusji? - Spojrzała na niego z zalem. Nie umiał powiedzieć, czy to uczucie jest szczere, czy po mistrzowsku udawane. - Za kogo ty mnie masz, Chico? Za dziecko? Myślisz, że przyszłam tu, żeby kaprysić i tupać nóżką? Umiem czytać i doskonale wiem, jakie kryteria trzeba spełnić, żeby nie zostać wydalonym z kursu. Uważam jednak, że Danny nie złamała żadnej reguły i chciałabym, żebyś wziął pod uwagę mój punkt widzenia.

- Nie każdy dostaje dyplom kursu Fernandeza. - Pokręcił głową. - To, że kogoś lubisz, nie znaczy, że masz rozwiązywać wszystkie jego problemy. Naucz się tego, bo inaczej będzie ci ciężko podejmować rozsądne decyzje w dorosłym życiu.

- A więc już podjęłaś decyzję? - natarła na niego, biorąc się pod boki. - I uważasz, że jest rozsądna?

- Owszem - rzucił. Cała sytuacja naprawdę zaczynała działać mu na nerwy. Najgorsze było to, że nie mógł oderwać wzroku od głębokiego dekoltu Liz. Wzburzenie sprawiało, że jej piersi falowały gwałtownie pod cienkim materiałem bluzeczki. Jeszcze chwila, a wyswobodzą się, rozrywając zbyt ciasne ubranie...

Przestań snuć marzenia, nakazał sobie twardo.

- Wiesz, co ci powiem? Ta decyzja jest nie tylko pochopna, ale przede wszystkim niesprawiedliwa. Danny nie ma własnego konia, jeździła na ogierze z tutejszej stajni. Koń zachowywał się tak chaotycznie, że na twoim miejscu sprawdziłabym, czy nie jest chory. Moim zdaniem powinna była poprosić o zmianę wierzchowca na samym początku treningu, ale pewnie się bała, że to wystarczy, by trafiła na czarną listę. Wiem, że Danny jest zbyt dumna, żeby prosić cię o zmianę decyzji, więc sama ci to powiem: odesłać do domu powinieneś nie ją, ale stajennego, który zajmował się jej koniem. Nie zauważył, że ze zwierzęciem dzieje się coś złego!

- Mam zaufanie do moich stajennych - powiedział obronnie, ale ona nie słuchała.

- Co się stało z tym chłopakiem, który tak dobrze rozumiał konie, jak gdyby mówił ich językiem? - spytała cicho, zaglądając mu w oczy.

Zamaskował niepokój twardym spojrzeniem. Musiał sprawdzić, czy z koniem wszystko jest w porządku. Jeżeli był chory albo kontuzjowany i Liz miała rację, winny był nie tylko stajenny, ale przede wszystkim on, jako prowadzący kurs. Taka sytuacja nie miała prawa się zdarzyć. Nie na jego własnym podwórku.

Ale to nie znaczyło, że był gotów otwarcie przyznać rację dziewczynie, która przed laty po prostu go skreśliła, a teraz czuła się uprawniona, żeby przypominać mu przeszłość. Takiej bezczelności nie potrafił puścić płazem.

- Nie wierzę, że wyrzucisz Danny z kursu, chociaż uległa wypadkowi nie ze swojej winy - nacierała dalej. - To byłoby niesprawiedliwe.

- Może jej nie wyrzucę - powiedział, udając wahanie - ale to zależy...

- Od czego? - W jej wzroku błysnęło żywe zainteresowanie.

- Od tego.

Zanim ona zdążyła się zorientować, co zaraz nastąpi, a on - zrozumieć, co właściwie robi, chwycił ją w objęcia i przyciągnął do siebie tak gwałtownie, że straciła równowagę i musiała się oprzeć o jego tors. Poczuł sprężysty dotyk jędrnych, zuchwale sterczących piersi i w następnej chwili zachłannie, niemal brutalnie całował Liz.

To miała być prowokacja - tak sobie zaplanował. Jeśli Elizabeth przyszła tu, licząc, że uzyska specjalne względy, świecąc dekoltem, powinna się spodziewać takiego rozwoju wypadków. Chciał jej udowodnić, że nie warto prowadzić z nim gierki tego typu. Nie był podatny na manipulacje. Natomiast ona musiała się liczyć z ryzykiem, że wpadnie we własne sidła. Tymczasem wydarzyło się coś, czego nie przewidział - on pierwszy uległ własnej prowokacji. Wystarczyło, że poczuł bliskość jej ciała, ciepło oddechu, delikatny zapach, słodki i dziewczęcy... bezpowrotnie stracił kontrolę.

Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej, a ona nie zaprotestowała, tylko wtuliła się w niego całym ciałem, uniosła ramiona, oplótła jego kark i, wspinając się na palce, odwzajemniła pocałunek.

Całkowicie go tym zaskoczyła.

Spodziewał się, że na jego bezczelne zachowanie młoda lady zareaguje oburzeniem albo zacznie się krygować, chichotać i wdzięczyć, próbując rozegrać sytuację na swoją korzyść. Nie był przygotowany na to, że okaże mu po prostu szczerą. W żarliwej pieśczości jej ciepłych, miękkich warg nie było ani krzty fałszu, pozycy obłudy. Całowała go jak stęskniona kochanka. Obejmowała go tak, jakby się bała, że go straci.

Zupełnie nie był na to przygotowany. Ale ona najwyraźniej też nie, bo nagle odskoczyła od niego, gwałtownie chwytając powietrze jak nurek, który ostatnim wysiłkiem dotarł do powierzchni wody.

Kiedy ją puścił, poczuł niemal fizyczny ból. Nagle zrozumiał z całą wyrazistością, jak bardzo jest samotny. Przed chwilą po raz pierwszy trzymał w objęciach dziewczynę, która pasowała do niego jak nikt inny - to nie była wyrozumowana konstatacja, tylko instynktowna pewność. Jej kobiece krągłości idealnie wypełniały pustkę w jego ramionach, jej pieśczoć były bezbłędne, jak gdyby porozumiewali się wspólnym, tajemnym kodem. Chyba nawet oddychali w tym samym rytmie. Wystarczył ten krótki moment, kiedy przyciskał do siebie jej szczupłe ciało, tak rozkosznie jędrne i prężne, i smakował niewiarygodną słodyczą jej pocałunków, żeby teraz, gdy stała ponad metr od niego, miał dojmujące poczucie straty.

Nie odezwał się; ona także milczała. Cóż mogli jeszcze powiedzieć? Przed chwilą przekazali sobie wszystko, co było naprawdę istotne. Jeśli czegoś teraz potrzebo-

wali, to czasu, żeby pogodzić się z prawdą o tym, co właśnie odkryli.

Elizabeth ciasno oplotła się ramionami, spuściła wzrok.

- Co mam powiedzieć Danny? - wydusiła, z trudem panując nad drżeniem głosu.

- Możesz jej powiedzieć, że zostaje - rzucił, krzywiąc usta. - Dostanie dwa dni wolnego na wykurowanie nogi, ale to wszystko, potem musi nadrobić zaległości. Wywalczyłaś dla niej drugą szansę.

Skinęła głową. Wydawało mu się, że kącik jej ust drgnął w uśmiechu. Zauważył to tylko dlatego, że nie mógł oderwać wzroku od jej zmysłowych warg. Już teraz tęsknił za ich ciepłą miękkością, za upojnym smakiem, dzikim i słodkim jak leśny miód.

Odwrócił wzrok. Powiedział sobie twardo, że tą drogą nie pójdzie. Za dużo w życiu osiągnął, żeby teraz wszystko zmarnować, tracąc głowę dla dziewczyny, która już raz okazała mu zimną obojętność. Co więcej, był trenerem, a ona - uczennicą. Absolutnie nie mógł sobie pozwolić na żadne fantazje z nią w roli głównej ani, tym bardziej, na flirt, nawet taki zupełnie niezobowiązujący. Nie popełni kolejnego błędu. Od tej chwili będzie się pilnował, żeby nie wypaść z roli.

- Dziękuję, trenerze - rzuciła, strojąc głos na ton oficjalny. Sztywno skłoniła głowę, obróciła się na pięcie i pomaszzerowała do drzwi, wyprostowana jak żołnierz podczas musztry. Chico Fernandez już raz zakpił z jej uczuć. Nie miała zamiaru dawać mu drugiej szansy. Obiecała sobie, że nie ulegnie jego urokowi. Już nigdy więcej.

Żadne z nich nie domyślało się nawet, jak bardzo w swoich postanowieniach są zgodni.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Liz poważnie się obawiała, że po tym, co się wydarzyło w gabinecie, nie poradzi sobie z emocjami. Jeśli Chico będzie wygłaszał kąśliwe uwagi, rzucał jej znaczące spojrzenia albo pozwalał sobie na cienkie aluzje, nie wytrzyma napięcia. Złość i rozżalenie sprawiły, że kiedy szła przez podwórze w stronę kantyny, musiała walczyć ze łzami. Czuła w gardle zdradziecką gorycz i chociaż gęsto mrugała powiekami, oczy piekły ją niemiłosiernie, a pole widzenia przesłoniła gęsta mgła. Nie pomogło powtarzanie sobie, że nie przyjechała tu po to, żeby dopieścić swoje ego, ale żeby ratować Rottingdean. W tej chwili czuła się zagubiona, rozbita, psychicznie obolała. Ten pocałunek... nie mogła uznać go za zwykły wypadek przy pracy. Zbyt dobrze pamiętała wszystko, co wydarzyło się między nią i Chikiem dwanaście lat temu. Nigdy nie zapomniała tej chwili, kiedy czekała na jego pocałunek... ale ten nigdy nie nastąpił. Nie zapomniała jego cichego, żarliwego szeptu, kiedy prosił ją, żeby na niego zaczekała. Najśmieszniejsze było to, że jeszcze tej samej nocy zmienił zdanie i po prostu wyjechał, nie odezwawszy się do niej słowem. Zwyczajnie o niej zapomniał.

Nie. Po namyśle musiała uznać, że co innego było w tym wszystkim najśmieszniejsze – to, że ona, w pewnym sensie, zastosowała się do jego prośby. Czekala. Dopiero teraz zaczynała rozumieć, że jej zmysły były pogrążone w uśpieniu, aż do chwili, kiedy obudził je pocałunkiem. Tylko że dla niego to było głupstwo, coś, co zrobił, żeby zabawić się jej kosztem. A ona po tym, co jej zrobił, była emocjonalnym wrakiem.

Po fali żalu przyszedł bunt. Liz zacisnęła zęby i hardo uniosła głowę. Na następne zajęcia stawiała się punktualnie, spokojna, skupiona na zadaniu. Oczy miała suche, jakby w ciągu ostatniej godziny ani przez chwilę nie płakała.

Godziny upływały, zamieniając się w dni, a dni zamieniały się w tygodnie. Liz dawała z siebie wszystko podczas ćwiczeń, a w czasie wolnym uzupełniała swoją wiedzę na temat hodowli koni i rozmaitych strategii rozgrywania meczów polo. Wbrew jej obawom, Chico nie próbował w żaden sposób jej rozproszyć. Przeciwnie, miała wrażenie, że stara się schodzić jej z drogi, jeśli nie liczyć ściśle zawodowych interakcji. Czas mijał, gorące brazylijskie lato powoli zamieniało się w rześką złocistą jesień. Pod koniec piątego tygodnia szkolenia na ranczu zostało ośmiu kursantów. Liz była zbyt zajęta treningami, żeby się zastanawiać, dlaczego Chico skreślił dwunastu zdolnych studentów, a ona wciąż była na liście uczestników. Nie dziwiło jej natomiast ani trochę, że Danny okazała się jedną z najlepszych. Wiedziała od dawna, że jej przyjaciółka ma nieprzeciętny talent.

Ostatniej nocy temperatura spadła poniżej dziesięciu stopni. O szóstej rano niebo dopiero zaczynało się rozjaśniać; w chłodzie wczesnego poranka oddechy ludzi i koni zamieniały się w białe chmurki pary. Liz włożyła kaptur i podciągnęła pod samą szyję suwak ciepłego wełnianego swetra. Czy to możliwe, żeby przez te kilka

tygodni tak bardzo przywykła do gorącego klimatu, że przeszkadzało jej gwałtowne oziębienie? W jej rodzinnej Szkocji takie temperatury utrzymywały się przecież przez większą część roku! Nie pojmowała, dlaczego chłodna aura wydawała jej się nagle tak nieprzyjemna. Jeszcze bardziej niezrozumiałe było, że tak ciężko znosiła chłód, który okazywał jej Chico. Powinna się cieszyć z tego, że traktował ją z profesjonalną, obojętną uprzejmością, tak jak innych kursantów – albo raczej tak, jak tych kursantów, których nie lubił. A jednak... tęskniła, rozpaczliwie tęskniła za tym instynktownym porozumieniem, za pokrewieństwem dusz, które łączyło ich przed laty. I rozmyślała nad tym, kim mogliby być dla siebie dzisiaj, gdyby w pewnym momencie, z jakiejś niezrozumiałej przyczyny, wszystko się nie popsulo.

Jak co dzień, kierując konia na miejsce porannej zbiórki, skupiała się na tym, żeby oczyścić umysł z wszelkich myśli o Chicu. Nie było to łatwe. Śniła o nim tej nocy, zresztą nie po raz pierwszy. W jej snach odnajdywali się po długich latach czekania, stęsknieni i niewiarygodnie szczęśliwi. W oczach Chica nie było nieprzeniknionej, chłodnej obojętności. Patrzył na nią z uroczystym wzruszeniem, spojrzenie miało pełne żaru, w którym, z dreszczem niedowierzania, rozpoznawała miłość. A potem Chico zamykał ją w ramionach, i tonęli w cudownie słodkim, ekstatycznie zmysłowym pocałunku. To były piękne sny, pełne wyrazistych, pozytywnych emocji... a jednak robiła wszystko, żeby o nich zapomnieć. Nawet jeśli podświadomość płatała jej figle, Liz nie zgadzała się na to, żeby grać rolę naiwnej, nieszczęśliwie zakochanej pensjonarki. Chico Fernandez był jej trenerem, i tyle. Koniec, kropka.

- Fane, co się z tobą dzisiaj dzieje? Nie wyspałaś się?

Drgnęła. W spokojnym głosie Chica nie było irytacji, tylko cień flegmatycznego rozbawienia, a jednak poczuła się tak, jakby poraził ją prąd. Wyprostowała się odruchowo, wściekła na siebie za tę chwilę nieuwagi. Była tak zajęta rozpamiętywaniem swoich głupich snów, że... zasnęła na jawie. Nie umiała powiedzieć, co przegapiła, ale zajęcia musiały się zacząć już dobrą chwilę temu.

- Przepraszam, trenerze. To się już więcej nie powtórzy. - Spojrzała mu prosto w oczy, starając się, żeby z jej twarzy nie można było wyczytać niczego poza skupieniem i gotowością do pracy. Nie mogła pozwolić, żeby ktokolwiek się domyślił, jakie wrażenie robi na niej Chico. Skoro nie była w stanie wyperswadować sobie głupiego zauroczenia, musiała przynajmniej dopilnować, żeby jej wstydlivy sekret nie wyszedł na jaw.

- Cieszę się, że to słyszę. - Chico posłał jej mroczne, nieodgadnione spojrzenie. Od pięciu tygodni próbowała zgadnąć, co myśli na jej temat, ale pozostawało to dla niej tajemnicą. Może w ogóle nie zaprzętał sobie nią głowy? Cóż, trochę za często czuła na sobie jego wzrok. Jak gdyby poddawał ją ciągłej obserwacji, stale oceniał jej zachowanie. Stresowało ją to, ale i mobilizowało do większego wysiłku. Nie miała zamiaru dać mu najmniejszej okazji do krytyki.

- Uwaga, wszyscy! - kontynuował Chico, jednocześnie bez żadnego widocznego wysiłku kierując koniem tak, żeby drobił nogami, wykonując skomplikowane obroty. Ośmioro adeptów obserwowało ten popis bez tchu, niemal bez mrugnięcia. W ośmiu parach oczu lśniła fascynacja.

Liz uśmiechnęła się lekko. O, tak, trener mógł być pewien, że skoncentrował na sobie uwagę ich wszystkich. Każdy marzył o tym, żeby podpatrzeć którąś z sekret-

nych technik, jakie Chico Fernandez wypracował podczas wielu lat kariery. Niekonwencjonalne podejście do koni stanowiło jego znak rozpoznawczy; był czas, kiedy wielu tuzów hippiki potępiało go za to, że tradycję traktuje z szokującą dezynwolturą, ale on robił swoje. I robił to tak dobrze, że pewnego dnia stał się najsłynniejszym trenerem polo na świecie.

- Przez ostatnie pięć tygodni odwaliliście kawał dobrej roboty. Przeszliście wszystkie testy sprawnościowe, udowodniliście, że jesteście nie tylko zdolni, ale też pracowici i wytrwali. Zanim zaczniemy ostatni tydzień kursu, należy się wam nagroda.

Zebrani poruszyli się, widocznie podekscytowani. Ktoś roześmiał się, ktoś głośno zawiwatował.

- Dostaniemy wolny wieczór?

- Tak, wolny wieczór, ale nie tu na odludziu, tylko w jakimś cywilizowanym miejscu. Tam, gdzie są kluby z przyzwoitą muzyką, a do picia coś mocniejszego niż tutaj piwo!

Chico podniósł rękę i wszyscy, którzy rwali się, żeby zgłosić kolejne sugestie, zamknęli usta.

- Proponuję wam rozegranie towarzyskiego meczu polo przeciw brazylijskiej drużynie. Oczywiście, zawodowi gracze dadzą wam pewne fory...

- Bo będą grali, biegając na własnych nogach? - podsunął jeden z kursantów.

Wszyscy się roześmieli, tylko Chico zachował kamienną twarz.

- Po meczu organizatorzy kursu Fernandezza zapraszają na zabawę - odezwał się, kiedy przebrzmiał śmiech. - Przyda się wam chwila relaksu z prawdziwego zdarzenia.

- A dokładniej: tym spośród nas, którzy przeżyją mecz przeciw zawodowym graczom - dodała Liz półgłosem.

- Przeżycie to podstawowy warunek uzyskania dyplomu - odparł Chico rzeczowym tonem. - Proszę o tym nie zapominać. Po przerwie śniadaniowej znajdziecie na tablicy ogłoszeń dokładny rozkład jutrzejszego dnia. Przewidziana będzie rekreacja, czas na opracowanie strategii meczu i trening, którym pokieruje tym razem kapitan waszej drużyny. Pozwoliłem sobie mianować waszego kapitana, jego nazwisko również znajdziecie na tablicy ogłoszeń. Ja będę kapitanem drużyny przeciwnej, zadbam o to, żeby reguły fair play zostały zachowane.

- Co rozumiesz pod pojęciem fair play? Przeciw zawodowym graczom mamy zero szans - wtrącił jeden z adeptów.

- Jeśli nie ma więcej pytań, zapraszam na tor treningowy - uciął Chico, obrócił konia i choć nie wykonał żadnego widocznego gestu, zwierzę nagle ruszyło galopem, posłuszne jakiemuś niewidocznemu impulsowi. Liz ruszyła za nim, kręcąc głową w zadumie. Ciekawe, ile jeszcze takich sztuczek miał w zanadrzu. I czy był jakikolwiek sposób, żeby wydobyć z niego choć jeden sekret, którego nie zamierzał przekazać swoim kursantom?

- „Elizabeth Fane, kapitan drużyny uczniów”. - Danny aż podskoczyła z ekscytacji. - Słyszysz, Liz? Jesteś kapitanem! Chico wybrał ciebie!

- Ciekawe, dlaczego. - Młody Włoch, który okazał się wyjątkowo ambitnym kur-

santem, ironicznie skrzywił usta i posłał rudowłosej Szkotce złe spojrzenie. Nie trzeba było być jasnowidzem, by się domyślić, że liczył na to, że to on zostanie kapitanem. Rozczarowanie bolało.

- Dlaczego wybrał mnie? - podchwyciła Liz lekkim tonem, posyłając mu rozbrajający uśmiech. - To nic innego, jak kolejny test. Miłościwie nam panujący trener chce się przekonać, jak sobie poradzimy, kiedy kapitanem będzie osoba tak roztrzepana, jak ja. Nikt nie powiedział, że Fernandez ułatwi nam zadanie, wyznaczając na kapitana kogoś o najlepszych predyspozycjach.

- Nie przesadzaj. - Włoch potrząsnął głową, wyraźnie udobruchany. - Moim zdaniem, będziesz... niezłym kapitanem.

Danny z zapałem pokiwała głową, tłumiąc wybuch śmiechu. Liz właśnie udowodniła, że idealnie nadaje się do roli kapitana. Mało kto mógł się wykazać takimi zdolnościami mediacyjnymi jak ona.

- Co my z tym fantem zrobimy? - Liz, wykończona po całym dniu ćwiczeń, klapnęła ciężko na drewnianą ławę w kantynie. Jediną rzeczą, która trzymała ją jeszcze przy życiu, był boski zapach grillowanego steka, który zajmował pół talerza stojącego przed jej nosem. - Nigdy nie zdołamy uzyskać wyniku, który pozwoliłby nam zachować przynajmniej resztki godności.

- Dlaczego nie? - Danny łypnęła na nią znad szaszłyka, który właśnie z zapałem obgryzała. - Myślisz, że nie zauważyłam, z jakim zapałem studiujesz różne strategie rozgrywania meczy? Założę się, że będziesz w stanie opracować taktykę, która zaskoczy tych czterech troglodytów.

- A wiesz, że możesz mieć rację? - Liz zamilkła na chwilę, a jej oczy zalsniły niebezpiecznym blaskiem. - Chyba właśnie wpadłam na pomysł...

- Gadaj! - Danny ściszyła głos i pochyliła się nad stołem.

- Mamy dostać fory, tak powiedział Chico. Powiemy, że chcemy mieć możliwość zmiany jednego lub dwóch graczy po każdej z części meczu. Chico na pewno dopilnuje, żeby części było osiem, tak jak mówią przepisy, więc każdy z nas będzie miał możliwość zagrać. Natomiast we własnym gronie ustalimy, że przy każdej zmianie gracza wszyscy zamieniamy się rolami. Opracujemy jakiś kod, żeby sobie przekazać, kto w kolejnej części będzie w ataku, kto będzie środkowym, a kto obrońcą. Zawodowi gracze są przypisani do swoich funkcji i spodziewają się tego samego po nas. Jeśli będziemy nieprzewidywalni, mocno utrudnimy im zadanie.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - wtrąciła się Koreanka Lucy, która dosiadła się do Brytyjek z miską pełną smażonego ryżu z warzywami. - To podejście jest tak nieortodoksyjne, że moglibyśmy zostać zdyskwalifikowani...

- Niech no tylko Chico Fernandez spróbuje zdyskwalifikować kogoś za nieortodoksyjne podejście do gry w polo - prychnęła Liz, a Danny i Lucy wybuchnęły śmiechem.

- Raczej nie spróbuje - podchwyciła Danny, z przekonaniem kręcąc głową. - Po pięciu tygodniach tego kursu reguły gry w polo znamy na wrywki, nieprawdaż? I, o ile się nie mylę, żadnej nie złamiemy.

- Właśnie. Jeśli tylko uda się nam przekonać pozostałą część grupy do tego pomysłu...

- Na pewno się uda. - Liz popatrzyła na kolegów, którzy siedzieli przy długim,

drewnianym stole, z apetytem pochłaniając kolację. – Jutrzejszy mecz zapowiada się ciekawie. Zaczynam myśleć, że mamy szansę... co najmniej na remis.

Pierwszą naradę wojenną odbyli jeszcze tego samego wieczoru, siedząc wokół niewielkiego ogniska i popijając lekkie, schłodzone *choppe*.

– Przygotowujemy się, żeby pracować jako instruktorzy, a nie zawodowi gracze polo. – Tamar, ciemnoskóra Amerykanka, wyciągnęła zgrabne nogi w stronę ognia.

– Dlatego każdy z nas trenuje grę na wszystkich pozycjach, czy to w ataku, czy w obronie. Z tego, co widziałam, wszyscy nieźle sobie radzimy z kijami i piłką, możemy się zamieniać rolami, to jest nasz atut.

– Nigdy nie będziemy lepsi od profesjonalnych zawodników – westchnął Włoch.

– Nie musimy być lepsi. Wystarczy, że ich zaskoczymy. Spodziewają się, że rozgromienie nas to będzie kaszka z mlekiem, a wieloletnie przyzwyczajenie sprawi, że nawet nie przyjdzie im do głowy, że mogliśmy zastosować nowatorską strategię. Musimy wybić ich z rytmu i wykorzystać ten moment, żeby zyskać przewagę – powiedziała Liz. Wszyscy pokiwali głowami.

– Myślę, że powinniśmy zamieniać się rolami nieregularnie, a nie jak w zegarku, po każdej części meczu. Będziemy bardziej nieprzewidywalni – dodała Danny. – Musimy po prostu obserwować naszego kapitana; Liz będzie oceniać sytuację i dawać sygnał do zmiany ról.

– Trzeba to przećwiczyć. – Młody Rosjanin patrzył poważnie spod ściętej tuż nad brwiami grzywy jasnych włosów.

– Jutro punktualnie o siódmej rano spotkamy się na bocznym boisku – zdecydowała Liz. – Mecz zacznie się późnym popołudniem, do tej pory będziemy gotowi.

To była epicka rozgrywka. Jesienne słońce chyliło się ku zachodowi, złocąc tumany pyłu, które wzbijały się spod końskich kopyt. Wierzchowce wyglądały wspaniale, z zaplecionymi grzywami i ogonami, w kolorowych uprzążach i ochraniaczach na nogi. Jeźdźcy prezentowali się nie gorzej, w dopasowanych białych spodniach i czarnych kaskach. Zabrzmiał gwizdek i piłka poszła w ruch. Pierwszy punkt zdobyła, oczywiście, drużyna zawodowa. Ale kiedy, zaraz po wznowieniu gry, Liz dała swoim graczom sekretny znak, błyskawicznie wyrównali wynik. Zobaczyła szczere uznanie w oczach Chica i poczuła się tak, jakby u ramion urosły jej skrzydła.

W piątej części meczu profesjonalni zawodnicy prowadzili zaledwie dwoma punktami, a drużyna uczniów deptała im po piętach. Mecz był niezwykle żywiołowy. Tutaj, w Brazylii, królowało *gaucho polo*, które niewiele miało wspólnego z kulturalną, ugrzecznioną rozrywką bogatych Europejczyków. W *gaucho polo* wszystkie chwytły były dozwolone – zawodnicy usiłovali wytrącić sobie z rąk kije, bezczelnie najeżdżali na siebie końmi, rzucali soczyste wiązanki przekleństw, każdy w swoim ojczystym języku. Liz nigdy jeszcze nie czuła się tak wspaniale. Gorąca atmosfera udzieliła się jej, budząc dziką, nieposkromioną radość. Ona także potrafiła być groźna. Wyzwolona. I nieobliczalna.

Uśmiechnęła się drapieźnie, widząc, jak biała piłka toczy się po trawie. Przylgnęła do karku Villema, obróciła konia w miejscu i wbiła łydki w jego boki, podrywając go do galopu. Ta piłka będzie jej. Potem wystarczy mocny, celny cios kijem i drużyna uczniów zdobędzie kolejny punkt.

Wpatrzona w cel, nie zorientowała się, że grozi jej katastrofa. Dwóch graczy nie zdążyło zatrzymać swoich wierzchowców. Rozpędzone konie staranowały Villema, który, rżąc buntowniczo, wspiął się na tylne nogi. Siła uderzenia wyniosła Elizabeth z siodła i wyrzuciła ją w górę jak pocisk. Nawet nie krzyknęła. W tym ułamku sekundy, który wydawał jej się długi jak wieczność, całe życie przesunęło jej się przed oczami. Wiedziała z całą pewnością, że w następnej chwili runie na ziemię, wprost pod kopyta rozpędzonych koni. I że to będzie ostatnia chwila jej życia.

Ktoś wydał z siebie zduszony krzyk, ktoś z jękiem puścił wodze. Gra utknęła w miejscu. Chico był po drugiej stronie boiska, kiedy zobaczył zderzenie wierzchowca Liz z dwoma innymi. Spiał swojego konia, zanim jeszcze drobne ciało dziewczyny znalazło się w powietrzu, i runął ku niej. Jego koń rwał przez boisko, wyciągnięty w galopie, niemal szorując brzuchem po ziemi. Wszyscy gracze zamarli w bezruchu, obserwując scenę. Nie było najmniejszej szansy, żeby ktokolwiek zdążył uratować Elizabeth Fane.

Chico zdążył.

Dopadł Liz na moment przed tym, zanim grzmotnęła o ziemię. Poprowadził swojego konia, rozpędzonego w dzikim galopie, szerokim łukiem, tak żeby przeciął drogę dwóch wierzchowców, gotowych stratować dziewczynę. Dokładnie w chwili, kiedy znalazł się niemal o milimetr od ich młócących ziemię kopyt, zanurkował w dół, wciąż obejmując konia mocnym uściskiem nóg, i chwycił dziewczynę. Jego ciało napięło się jak struna, każdy najmniejszy mięsień zadygotał z przeciążenia, ale nie wypuścił Elizabeth z mocnego, pewnego uścisku. Minęła kolejna sekunda i Liz była bezpieczna.

Spłoszone konie wyhamowały, nareszcie pozwalając się ujarzmić jeźdźcom. Liz uniosła powieki i spojrzała wprost w ciemne oczy Chica Fernandez.

- Dziękujemy za ten popis wołyżerki, panno Fane - rzucił lekkim tonem, ale jego wzrok pozostał poważny. Wokół rozległy się wybuchy śmiechu; ulga sprawiła, że wszyscy nagle uznali sytuację za niesamowicie zabawną. Wszyscy, prócz nich dwojga. Liz miała wrażenie, że znajduje się w stanie nieważkości. Jej ciało, nagle nienaturalnie lekkie, wibrowało od intensywnych doznań. Chico trzymał ją w ramionach. Czuła mocne, miarowe uderzenia jego serca, czuła, jak jego szeroka pierś unosi się w rytmie przyspieszonego oddechu. Ciepło bijące od niego przenikało ją na wskroś jak zniewalająca, intymna pieśczęta. A świadomość, że ten mężczyzna przed chwilą uratował jej życie, ryzykując własne, przyniosła falę potężnego wzruszenia, które sprawiło, że zmiękła jak wosk.

Chętnie oddałaby mu wszystko. Ciało i duszę. Gdyby tylko zechciał...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Dlaczego nie zrobiłaś się jeszcze na bóstwo? - Danny wtargnęła bez uprzedzenia do pokoju Liz i aż sapnęła z oburzenia, widząc, że przyjaciółka, zamiast się przygotowywać do imprezy, leży na wznak na łóżku, wpatrując się w sufit. - Tylko mi nie mów, że zamierzasz spędzić wieczór na białej sali - prychnęła, biorąc się pod boki. - Co z tobą, Liz? Aż tak przeżywasz naszą przegraną?

- Przegraliśmy tylko jednym punktem - odezwała się Liz, nie zmieniając pozycji. - I nie, nie zamierzam przeleżeć całego wieczora w łóżku. Po prostu odpocznę sobie trochę, a potem zajrzę do koni. Idź się bawić, o mnie się nie martw. Na pewno znajdę sobie jakieś zajęcie.

Liz westchnęła głęboko. Jak mogła po prostu pójść na zabawę po tym, co wydarzyło się na meczu? Jej błąd omal nie doprowadził do poważnej kontuzji nie tylko Villema, ale i bezcenne konie należące do brazylijskiej drużyny. Jak mogła spojrzeć w oczy zawodnikom, których naraziła na niebezpieczeństwo? I wreszcie, jak miała się bawić w towarzystwie Chica Fernandeza, i nie rzucić mu się na szyję w całkowicie jednoznacznych zamiarach? Na samo wspomnienie uścisku jego mocnych ramion, mięśni tak twardych, jak gdyby były z żelaza, i cudownego poczucia bezpieczeństwa, którego zaznała w jego objęciach, gdy dosłownie wyciągnął ją spod końskich kopyt... jej ciało ogarniał płomień pożądania. Płomień grozący pożarem, który z całą pewnością byłby katastrofalny w skutkach.

Dobrze wiedziała, że nie powinna nawet marzyć o tym, żeby pójść do łóżka z Chikiem. Niestety, nie mogła myśleć o niczym innym. Spędzenie wieczoru w samotności wydawało się jedynym ratunkiem. Może do następnego ranka odzyska choć trochę zdrowego rozsądku?

- Powiem krótko - wycedziła Danny, mierzając przyjaciółkę zimnym spojrzeniem. - Jeśli zaraz nie podniesiesz tyłka i nie włożysz na siebie jakiejs kieciki, zawiadomię Fernandeza, że jesteś chora i trzeba wezwać lekarza. Słyszałam, że doktor z pobliskiego miasteczka ma świra na punkcie medycyny naturalnej. Wszystkim pacjentom na dzień dobry ordynuje kurację pijawkami.

- W porządku, przekonałaś mnie. - Liz westchnęła jeszcze raz, nie chcąc wypaść z roli. Uwielbiała tańczyć i decyzja, żeby zrezygnować z zabawy, dużo ją kosztowała... tak naprawdę, w cichości ducha nie traciła nadziei, że Danny weźmie sprawy w swoje ręce, i, koniec końców, postawi ją przed faktem dokonanym.

Więc dobrze, na zabawę pójdzie. Ale będzie się trzymać z daleka od Chica.

- Nie mam zamiaru się stroić - nadała się, kiedy Danny podeszła do szafy i bez żenady otworzyła ją na oścież.

- Stroić się? Żartujesz? Niby w co, skoro przywiozłaś tylko kilka par dzinsów, praktyczne szare bluzy z kapturem, sportowe topy i swetry z surowej wełny? - Danny z impetem przesuwała wieszaki. - Ojej! - zawołała nagle. - Nie pochwaliłaś mi się, że masz takie cudo!

Sukienka z połyskliwego jedwabiu o głębokiej barwie leśnego mchu, z aplikacjami z czarnej koronki, była prześliczna. Krój z wyraźnie zaznaczoną talią nadawał jej uroczego, dziewczęcego charakteru, szerokie ramiączka stwarzały pozory skromności, a głęboki dekolt poddawał je w wątpliwość. Rozkloszowana spódnica opadała miękkimi falami, kończąc się szeroką warstwą koronki kilka centymetrów powyżej kolan.

- Dostałam tę sukienkę od babci, tuż przed wyjazdem. - Liz uśmiechnęła się bezwiednie i pogładziła delikatny materiał. - Sama nie wiem, po co ją zapakowałam... chyba jako talizman, żeby przyniosła mi szczęście.

- No i założę się, że ta kiecka przyniesie ci dzisiaj szczęście - zaśmiała się przyjaciółka. - Na co jeszcze czekasz? O ile dobrze słyszę, z kantyny już dobiega muzyka. Chyba nie pozwolimy, żeby zabawa zaczęła się bez nas?

- Daj mi dziesięć minut. - Liz zerwała się na równe nogi i popędziła do łazienki. Stroić się nie miała zamiaru, co to, to nie. Po prostu weźmie prysznic, a potem uczesze wilgotne włosy w jakieś figlarne, luźne upięcie. Pociągnie rzęsy ciemnym tuszem, a usta szminką w kolorze dojrzałych wiśni. Włoży swoją nową sukienkę i pająkujące do niej pantofle na obcasie, które jakimś cudem również znalazły się w jej walizce.

Ostatecznie żyje się tylko raz, a młodość nie trwa wiecznie...

Liz nagle poczuła, że ma ogromną ochotę zatańczyć sambę.

Chico Fernandez nie sprawiał wrażenia człowieka, który gustuje w hucznych zabawach, a jednak, kiedy zdecydował się zorganizować imprezę, nie zadowolął się półśrodkami. W kantynie, ozdobionej na tę okazję sznurami lampionów, urządzono parkiet, a orkiestra stroiła już instrumenty. Na kontuarze kryształowe kieliszki stały w równych rzędach jak wojsko przed bitwą. Tej nocy trunki będą się lać strumieniami, muzycy - przygrywać do tańca, a wszyscy obecni na ranczu, kursanci, zawodnicy i personel - bawić się do białego rana.

Imprezowicze schodzili się i gromadzili przy stołach, na których rozstawiono przekąski. Chico kończył właśnie rozmowę z dostawcą wina, kiedy w drzwiach pojawiła się Liz.

Była zjawiskowa. Ciemnozielona sukienka, która podkreślała płomienny kolor jej włosów, w jakiś tajemniczy sposób sprawiała, że dziewczyna wyglądała dystygownie jak prawdziwa dama i jednocześnie zmysłowo niczym rajska kusicielka.

Kiedy tylko podeszła do jednego ze stołów, pozostali kursanci otoczyli ją ciasnym kręgiem. Kto by pomyślał, że nieśmiała piętnastolatka, która była prawdziwym odлюдkiem, stanie się duszą towarzystwa, kimś, do kogo ludzie ciągnęli jak muchy do miodu. Posłyszał wybuchy śmiechu - koledzy żartowali z popisu woltyżerki, który dała podczas meczu. Liz śmiała się także, chociaż zobaczył, że na wspomnienie tego wydarzenia instynktownie kuli ramiona. I nic dziwnego, skoro mało brakowało, a zostałaby poturbowana albo wręcz straciła życie. Podziwiał ją za to, że po wypadku natychmiast wzięła się w garść i nie zeszła z boiska aż do końca meczu. Udowodniła, że jest twarda. A teraz pokazywała, że potrafi mieć dystans do samej siebie. Liz Fane była... naprawdę niezwykła. Nagle, niespodziewanie, przypomniał mu się ich pocałunek. Przez pięć tygodni wypierał to wspomnienie, skutecznie blokował

każdą myśl o Elizabeth. A teraz, nagle, tamy puściły. Choć patrzył na nią przez całą długość sali, miał wrażenie, że czuje miękkość jej ust, ich niezrównany, słodki smak, ciepło oddechu i satynowy, chłodny dotyk jej drobnych dłoni, pieśczołliwie głaszczących jego kark... Nakazał sobie spokój, ale daremnie. Jego wyobraźnia zerwała się z uwięzi, ciało naprężyło się, stężało, jak dziki koń schwyty w kantar. Pragnął jej. Pragnął jej tak bardzo, że doprowadzało go to do szaleństwa.

Chwycił z blatu kieliszek wina i wypił jednym haustem, choć nie miał wielkiej nadziei, że to cokolwiek pomoże. Ognia, który w nim płonął, nie zdołałaby ugasić nawet beczka wina. Rozpaczliwie usiłował wytrwać w postanowieniu, żeby trzymać się od niej z daleka. Do diabła, był trenerem, a ona uczestniczką elitarnego kursu, który prowadził! Zresztą, kto wie, kim jeszcze była? Może rozpustnicą i bezczelną naciągaczką jak jej matka? Jeżeli chciał zachować pozycję, na którą pracował dwanaście długich lat, musiał ograniczyć do minimum jakikolwiek kontakt z rodziną Fane.

Wytrzymał niecały kwadrans. Dopóki Liz po prostu gadała z kolegami z kursu, był w stanie zachować względny spokój. Ale kiedy wzięła z kontuaru dwa kieliszki wina i tanecznym krokiem podeszła do grupy zawodników polo, wywołując głośne wiwaty, a nawet sugestywne gwizdy, nie wystarczyło mu silnej woli. Zanim zdążył podjąć jakąkolwiek świadomą decyzję, już siedł przez salę nabuzowany, jak gdyby był na wojennej ścieżce.

Liz nie miała zamiaru chować się po kątach przez cały wieczór. Jeśli chciała dokończyć kurs, musiała przejść do porządku dziennego nad tym, co się wydarzyło podczas meczu. A czy był lepszy sposób, niż wystąpić z otwartą przyłbicą? Najpierw pozwoliła, żeby koledzy z grupy po przyjacielsku wykpiłi jej „wyczyn”. Śmiała się razem z nimi, kiedy wypominali jej brawurę i zastanawiali się głośno, czy nie mięła się z powołaniem, rezygnując z kariery cyrkowej. Kiedy do kantyny ściągnęli, zwabieni dźwiękami muzyki i zapachem grillowanych potraw, zawodowi gracze polo, wzięła głęboki oddech, życzyła sobie szczęścia i wyszła im na spotkanie. Dwóm mężczyznom, których omal nie naraziła na poważny wypadek, należały się od niej przeprosiny. Zamierzała ułatwić sobie zadanie, wręczając im po kieliszku wina.

- Mam nadzieję, że bardzo się nie gniewacie za moje głupie zachowanie podczas meczu - zaczęła, kwitując uśmiechem ich nieco zbyt entuzjastyczne powitanie. - Proszę, nie chowajcie urazy...

Odpowiedział jej chór zapewnień, że nikomu nawet się nie śniło, by obwiniać ją o cokolwiek. Polo było grą niebezpieczną; na tym między innymi polegał jej urok. Nawet najlepsi zawodnicy co jakiś czas popełniali błąd, ktoś spadał z konia, ktoś lądował w szpitalu z połamanymi nogami. To nie był powód do jakichkolwiek pretensji, ale... jeśli Liz chciała wynagrodzić im przeżyty stres, był na to sposób - wystarczy, jeśli zgodzi się zatańczyć przynajmniej raz z każdym z chłopaków z drużyny.

- Wolniej, panowie, wstrzymajcie konie - lodowata nuta w głosie Chica sprawiła, że zadowolone uśmiechy zniknęły z twarzy Brazylijczyków jak starte ścierką. - Wydaje mi się, że jeśli panna Fane jest winna komukolwiek taniec, to przede wszystkim mnie. A może się mylę?

- Ależ skąd, nie mylisz się. Masz świętą rację, szefie. - Młodzi mężczyźni kiwali

głowami, żaden nie ośmielał się już nawet spojrzeć na dziewczynę. Jak gdyby chwilę wcześniej nie przypatrywali się jej z zupełnie jednoznacznym zainteresowaniem. Liz poczuła, że wzbiera w niej złość. Do diabła, byli przecież cywilizowanymi ludźmi, a nie watahą wilków! A jednak ci faceci zachowywali się jak szczeniaki w obecności samca alfa, starego basiora. Ona zaś była samicą, której jedynym zadaniem była uległość wobec zwycięzcy...

Niedoczekanie.

- Przepraszam, ale nie pozwolę, żeby ktokolwiek dyktował mi, co ma robić - syknęła. - Zatańczę, z kim będę miała ochotę. Nie jesteś jedynym atrakcyjnym mężczyzną na sali, Fernandez.

- Ależ oczywiście - zgodził się z uśmiechem. - Jednak tak się składa, że orkiestra właśnie szykuje się, żeby zagrać do tańca. Osobiście nie widzę lepszego sposobu na to, żeby zintegrować towarzystwo, niż wspólny taniec kapitanów drużyn.

- Tylko mi nie mów, że taka jest tradycja. - Skrzywiła usta w cynicznym uśmiechu. - Czy po meczu z drużyną Urugwaju też tańczyłeś z ich kapitanem, niejakim Nero Caracassem? To musiało być bardzo osobliwe widowisko. Zapłaciłabym duże pieniądze, żeby móc być świadkiem...

- Cicho, sza. - Położył palec na jej ustach, a ona zamilkła raptownie, jak gdyby głos odmówił jej posłuszeństwa.

W tym momencie skrzypce, akordeony, gitary, fletnie i bębny podjęły zmysłową melodię w rozkołysanym rytmie rumbi. Chico skłonił się szarmancko i podał rękę Liz. Jakie miała wyjście? Robiąc dobrą minę do złej gry, ruszyła z nim na parkiet.

- Niech ci będzie - szepnęła, odgarniając z czoła niesforny kosmyk włosów. - Jeden taniec to w sumie niewielka cena za uratowanie mi życia.

- Kto mówi, że skończy się na jednym tańcu? - wymruczał gardłowo, a potem bez ostrzeżenia obrócił ją w błyskawicznym piruecie.

Nie dała się zaskoczyć. Podchwyciła rytm, zmysłowo kołysząc biodrami. Obrócił ją znowu, poprowadził w skomplikowanej, tanecznej figurze. Dotrzymała mu kroku. Poruszała się płynnie i lekko, idealnie posłuszna gorącemu, zwodniczo spokojnemu rytmowi rumbi.

- Dziękuję za to, co dla mnie dzisiaj zrobiłeś - szepnęła, niemal ocierając się o niego w kolejnej, uwodzicielskiej figurze.

- Nie ma za co - wykrztusił. Zaczynał żałować, że nie znajduje się na boisku, w polu rażenia śmiertelnych kopyt rozpędzonych koni. Tam wiedziałby dokładnie, co robić, żeby nie popełnić błędu. Tutaj czuł się tak, jak gdyby tańczył na wulkanie. Jakie лихо go podkusiło, żeby w ogóle zbliżyć się do tej diablicy? Jej włosy, splecione w jakiś niewiarygodnie misterny węzeł, pachniały delikatnie kwiatami jałbłoni, i ten zapach uderzał mu do głowy, sprawiał, że nie mógł jasno myśleć. Gdyby chociaż okazała się kiepską partnerką w tańcu... ale nie, poruszała się nie gorzej niż tutejsze dziewczęta, dla których ta muzyka była chlebem powszednim. Powinien był się domyślić, że ktoś, kto tak znakomicie wyczuwa konie, będzie potrafił także wczuć się w muzykę. Ale rzeczywistość przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Czy młoda lady Fane w ogóle zdawała sobie sprawę, że kiedy tańczy, wygląda jak ucieleśnienie męskich fantazji? Niemal wszyscy faceci obecni w kantynie gapili się na nią z niezbyt mądrymi minami. Ona jednak zupełnie tego nie zauważała. Przymknęła

oczy, a delikatne usta, które tego wieczora miały soczysty kolor dojrzałych wiśni, uśmiechały się bezwiednie. Liz tańczyła, wsłuchana w gorący rytm rumbi, jak gdyby to melodia, a nie krew, tętniła w jej żyłach. Reagowała na najmniejsze poruszenie dłoni Chica, pozwalając się prowadzić, lekka, pełna gracji, widocznie zafascynowana doświadczeniem, jakim był dla niej ten moment, ta muzyka, ten taniec...

Chico poczuł, że jest zgubiony. Chciał, żeby ta chwila trwała całą wieczność – on i ona poruszający się razem, w doskonałej harmonii, w tańcu, który był jak opowieść bez słów o kobiecości i męskości, o pokusie i pożądaniu, o niezależności i zdecydowaniu. Ale przecież równocześnie każda sekunda była dla niego nieznośną torturą. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie znajdzie się sam na sam z tą dziewczyną, najchętniej w dużym, wygodnym łóżku... Nie mógł się doczekać, by zerwać z niej tę sukienkę, wyzywającą pod pozorami skromności, i zrobić z nią to, o co tak wymownie go prosiła każdym spojrzeniem, gestem, zmysłowym kołysaniem bioder.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Orkiestra była niesamowita. Mocny, głęboki głos akordeonu prowadził główną linię melodyczną, w nieustannym dialogu z niespokojnym, momentami wręcz historycznym śpiewem fletni. Szalone staccato gitar podkreślało rytm, a bębny nadawały mu hipnotyczny, niemal transowy charakter. Samo to wystarczyłoby, żeby Liz straciła kontakt z rzeczywistością, ogarnięta czystym zachwytem. Czy mogła zachować choć resztki zdrowego rozsądku, kiedy czuła dłoń Chica na swojej talii, jej dotyk tak gorący, tak sugestywny, że przenikały ją dreszcze, a wrażliwa skóra jej pośladków niemalże błagała o to, żeby przesunął rękę niżej, pozwalając sobie na zuchwałą pieszczotę... Chico był wymarzonym partnerem do tańca – pewny siebie, prowadził ją ze swobodą, która nie mogła się jej nie udzielić. Jego ruchy, płynne, oszczędne, pełne skupionej energii, przywołały na myśl zachowanie wielkiego, drapieżnego kota. Był piękny i niebezpieczny.

Taniec z nim był tak niezwykle intensywnym przeżyciem, że dała się bez reszty ponieść zmysłom. A wyobraźnia podsuwała jej coraz śmielsze sceny, w których ten mężczyzna o poważnym spojrzeniu i sylwetce jakby wyrzeźbionej w granicie robił z nią rzeczy, na jakie jeszcze nigdy nikomu nie pozwoliła...

Upojona tańcem, zatraciła się w marzeniach. Kiedy muzycy, odegrawszy finalny akord, odłożyli instrumenty, jęknęła cicho, bezwiednie, w odruchowym proteście. Chico wypuścił ją z objęć i cofnął się o krok. Była wolna, mogła odwrócić się na pięcie i odejść.

Obje wiedzieli, że tego nie zrobi.

Wyciągnęli ku sobie ręce; ich dłonie spotkały się w pół drogi. Gdy splekli ze sobą palce, Liz poczuła, jak przesywa ją gorący dreszcz. Ten dyskretny gest miał dla niej rangę namiętnej obietnicy. Tak, pójdzie z nim, dokądkolwiek on zechce ją zaprowadzić. Tak, będzie posłuszna... pożądaniu, które tętniło w ich krwi zgodnym rytmem.

Poprowadził ją przez rozbawiony tłum, a potem w chłodną ciemność jesiennej nocy. Serce tłukło się w jej piersi, krew huczała w skroniach tak głośno, że ledwo słyszała chrzęst żwiru pod stopami, kiedy szli przez podwórze, a potem skrzywienie drewnianej podłogi, gdy przekroczyli próg starego domu. Trzasnęły drzwi wejściowe i otoczył ich nieprzenikniony mrok pustego wnętrza. W następnej chwili Liz znalazła się w objęciach Chica. Nie okazała najmniejszego zaskoczenia, przeciwnie, z cichym okrzykiem, w którym ulga mieszała się z dziką radością, oplotła jego kark ramionami i, wspinając się na palce, odnalazła wargami jego usta. Niewiele myśląc, uniósł ją i oparł plecami o ścianę, a potem pogłębił pocałunek, pozwalając dłoniom błądzić po jej ciele. Kiedy przeniknął go dreszcz podekscytowania, pomyślał przełotnie, że czuje się jak dzieciak odpakowujący prezent w Wigilię Bożego Narodzenia.

Liz sama siebie nie poznawała. Nigdy dotąd nie postępowała tak impulsywnie, ale

teraz w głowie miała tylko jedno.

Nareszcie.

Nareszcie miała go dla siebie. Po długich dwunastu latach milczenia i jeszcze dłuższych pięciu tygodniach, gdy traktował ją z bezosobową uprzejmością, jak gdyby w ogóle jej nie znał, mogła robić z nim to, o czym od tak dawna marzyła. Pozwoliła, by uniósł ją w ramionach i, niewiele myśląc, otoczyła nogami jego biodra, ścisnęła mocno, bezlitośnie. Nie zamierzała traktować go łagodnie. Emocje, które od lat wyciszała, teraz buzowały, domagając się ujścia. Wplotła palce w jego włosy, przylgnęła do muskularnego torsu, rozkoszując się promieniującym od niego ciepłem. Kiedy wbiła zęby w jego dolną wargę, poczuła wyraźnie, jak jego pierś unosi przyspieszony oddech.

Nie pozostał jej dłużny. Wciąż trzymając ją w objęciach, przesunął się nieznacznie, tak że nabrzmiała męskość znalazła się dokładnie tam, gdzie jej ciało pulsowało gorącym pożądaniem. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk, jak gdyby ta bliskość była dla niej zbyt silnym przeżyciem, by mogła wyrazić to w jakikolwiek sposób. On też się nie odezwał, tylko poruszył biodrami, napierając na nią, tyleż sugestywnie, co delikatnie... Zbyt delikatnie. Poczwała nagle, że jej ciało pragnie więcej. Chciała, żeby był jeszcze bliżej, chciała czuć tę bliskość o wiele intensywniej.

Z bezgłośnym westchnieniem wzmocniła uścisk, poruszając się gorączkowo, w rytmie, który dyktowało jej pożądanie. Cienki materiał majteczek nie stanowił żadnej przeszkody dla doznań, które sprawiały, że narastało w niej szaleństwo. Zaciśnęła powieki i rozchyliła usta, bez reszty pochłonięta namiętnością. Rzeczywistość zbladła i zniknęła, myśli rozpięzchły się jak spłoszone wróble. Nie istniało już nic poza jej pragnieniem i jego twardą, gorącą gotowością. Liz krzyknęła głucho, kiedy ich bliskość skrzesała iskłę, która wywołała wybuch rozkoszy.

Jej ciałem wstrząsnął potężny spazm, powrócił echem, raz, drugi, trzeci... Chico nie wypuścił jej z objęć, nawet wtedy, gdy po długiej chwili znieruchomiała, otworzyła szeroko oczy, a na jej twarzy odmalował się wyraz zdumienia i autentycznej paniki.

- O nie! - zaszamotała się w rozpaczliwej próbie odzyskania swobody ruchów. - Co ja najlepszego... nie mogę... nie chcę...

- Ależ chcesz. I możesz. - odstawił ją delikatnie na ziemi i cofnął się o krok. Głos miał miękki, łagodny, jak gdyby uspokajał spłoszonego konia. - Ja też tego chcę... Zamierzam posunąć się dalej. Zamierzam zabrać cię do łóżka, rozebrać i postąpić z tobą tak, jak mężczyzna postępuje z kobietą, której pożąda. Jeśli teraz odejdziesz, nie zatrzymam cię. Ale jeżeli zostaniesz, nie będzie już odwrotu.

Cofnęła się o krok. Powinna mu powiedzieć, że pożądanie to dla niej o wiele za mało na to, żeby zaangażować się do końca. Dzieliło ich dwanaście lat milczenia i pytania, które dotąd pozostawały bez odpowiedzi. Dzieliło ich właściwie wszystko, historia życia, pochodzenie, stan majątkowy... jejku, nawet mieszkali po przeciwnych stronach globu! Nie mówiąc już o tym, że niczego sobie nie obiecywali. A ona, cóż, może i miała przekonania rodem z dziewiętnastego wieku, ale wiedziała jedno. Do łóżka pójdzie tylko z mężczyzną, który zechce spędzić z nią życie, a ona będzie to pragnienie podzielać.

Tymczasem Chico po prostu chciał się zabawić. Intymne pieścizoty, baraszkowanie nago w pościeli – nie wątpiła, że słynny sportowiec i milioner traktował takie rzeczy jak niezobowiązującą rozrywkę i zawsze mógł liczyć na to, że znajdzie się jakaś piękna kobieta, która będzie szczęśliwa, mogąc mu takiej rozrywki dostarczyć i zaraz potem zniknąć z jego życia.

Spojrzała mu prosto w oczy; w półmroku jego czarne tęczęwki lśniły jak dwa obsydiany. To był moment, kiedy należało odzyskać panowanie nad sobą. Popełniła błąd, ale błędzenie jest rzeczą ludzką. Natomiast trwanie w błędzie byłoby czystą głupotą. Jeśli miała choć trochę oleju w głowie, powinna natychmiast brać nogi za pas...

Niestety, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Po tym, co przed chwilą przeżyła, kolana miała zupełnie miękkie. Gorzej, że nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy, a jej myśli biegnęły w bardzo niebezpiecznym kierunku.

Dlaczego właściwie miałyby powiedzieć „nie”? Przecież – było to teraz dla niej zupełnie jasne – kochała Chica Fernandezę. Kochała go od chwili, gdy po raz pierwszy odezwał się do niej, wówczas piętnastoletniej lękliwej smarkuli. Kiedy zniknął z jej życia, zdołała przekonać samą siebie, że go nienawidzi. Albo przynajmniej, że jest on dla niej obcym, zupełnie obojętnym człowiekiem. Ale wystarczył jeden pocałunek, jeden taniec... jedna chwila szalonej, niepohamowanej namiętności, a musiała przyznać sama przed sobą, że prawda wyglądała zupełnie inaczej. Nigdy nie przestała go kochać. Co więcej, była przekonana, że w tej kwestii nic się nie zmieni. Był mężczyzną jej życia i zawsze nim pozostanie. Nie mogłaby pokochać innego. Nie taką wariacką, bezinteresowną i upartą miłością. Miłością, która była warta tego, żeby poświęcić dla niej... wszystko. Mocne postanowienia, reputację, przyszłość.

Gdyby w tej chwili jakimś tajemniczym zrzędzeniem losu pojawił się przed nimi ksiądz albo urzędnik stanu cywilnego, bez wahania przysięgłaby Chicowi miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Gdyby tylko zechciał, zostałyby z nim aż do śmierci. O niczym bardziej nie marzyła.

- Nie odejdę – szepnęła, wciąż wpatrzona w jego oczy.

Przez chwilę milczeli oboje, świadomi napięcia, które rosło między nimi, ciche, coraz potężniejsze, jak wypiętrzająca się burzowa chmura, równie piękna, co groźna. A potem Chico chwycił Elizabeth w ramiona i wielkimi krokami ruszył przez sieni. Jeszcze nigdy stare schody nie wydawały się mu tak strome, a droga do sypialni – tak strasznie daleka.

Liz zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła się w jego tors. Odruchowo zamknęła oczy, ale zaraz otworzyła je z powrotem. Chciała obserwować, chłonąć każdy moment, każdy najmniejszy szczegół. Zapamięta wszystko i zachowa te wspomnienia na zawsze, jak najcenniejszy skarb. Nikt jej ich nie odbierze.

Szerokie drewniane schody łagodnym łukiem prowadziły na piętro. Przez smukłe okna o ozdobnych witrażowych podziałach wpadało światło ogrodowych latarni. Z podestu na piętrze prowadziło troje drzwi. Chico otworzył te, które wiodły do wschodniej części domu. Nagłe wzruszenie sprawiło, że oczy Liz napełniły się łzami. Ileż to razy wyobrażała sobie, jak wygląda dom Chica, a w szczególności... jego sypialnia? Teraz mogła się przekonać, że obraz, który widywała w marzeniach, zadziwiająco dokładnie odpowiadał rzeczywistości. Lamy o prostych abażurach z na-

turalnego lnu nasycaly przyćmionym, ciepłym blaskiem wewnątrz, ukazując ciemne deski podłogi, ściany z surowej cegły, kominek w prostym obramowaniu z jasnego piaskowca. Przez uchylone balkonowe drzwi do wnętrza napływał zapach rosnących pod oknem powojników, które były w pełni jesienno-rozkwitowe. Z daleka słychać było przytłumione dźwięki tanecznej muzyki. W kantine bawiono się w najlepsze. Ciekawe, czy ktoś zauważył ich nieobecność... czy dodał dwa do dwóch?

Niepokój zakiełkował w jej sercu, lecz natychmiast zniknął, kiedy Chico podszedł do wielkiego łóżka w drewnianej ramie, przykrytego ciemną narzutą. Teraz nie była w stanie już myśleć o niczym. Niecierpliwe oczekiwanie zamrowiło w opuszkach palców, spłynęło gorącym dreszczem wzdłuż kręgosłupa... a trema debutantki ścisnęła ją za gardło, niemal dławiąc oddech.

- Chcesz tego, Liz? - wymruczał Chico, sadzając ją na materacu, jeszcze raz cofając się o krok.

- Chcę ciebie - powiedziała z żarem, przełamując trema.

Usłyszał w tonie jej głosu coś, co sprawiło, że upadł przed nią na kolana. Jej wargi zadrżały w uśmiechu, a z oczu popłynęły łzy. Wyciągnęła do niego ręce, obrysowała kontur twarzy uważnym, pieścizotliwym gestem, jak gdyby chciała nauczyć się go na pamięć.

Ujął jej nadgarstki, pochylił głowę. Poczula dotyk jego ciepłych warg pieścizających wewnątrz jej dłoni i jęknęła głucho, nagłaco. Resztki tremy zniknęły, gdy pożądanie, niczym szalejący pożar, ogarnęło jej ciało. Tylko ten mężczyzna mógł ugasić trawiący ją płomień.

Nie chciała, by zwlekał choć sekundę dłużej. Pragnęła go. Całego. Tutaj, teraz.

- Chico... - wyjąkała. - Proszę...

Spełnił jej prośbę. Sięgnął do dekoltu jej sukienki, powiódł palcami wzdłuż delikatnego rysunku obojczyków i nagle jednym szarpnięciem obnażył jej piersi, zsuwając w dół ramię sukienkę i stanik. Zadrżała. Ręce miała spętane ubraniem, była bezbronna, półnaga, wydana na jego łaskę i niełaskę. Mierzył ją ciemnym spojrzeniem, w którym nie było już czułości, tylko niepokonana żądza.

To spojrzenie wystarczyło, by poczuła, że w głębi jej ciała zaczyna wzbierać rozkosz.

Chico nie zamierzał się spieszyć. Sekundy mijały, a on po prostu patrzył na Elizabeth. Nigdy żadna kobieta nie robiła na nim takiego wrażenia, żadna nie potrafiła obudzić w nim tak silnych, pierwotnych instynktów. Elizabeth była... zjawiskowa. Jej cera, nawet po pięciu tygodniach pod słońcem Brazylii, zachowała mleczny blask. Szarozielone oczy były zamglone, a policzki zarumienione od zmysłowej rozkoszy, którą przed chwilą przeżyła w jego ramionach. Włosy wymknęły się z upięcia i opadały gąszczem pianistych kosmyków na szczuplutkie ramiona. Na pierwszy rzut oka mogła się wydawać wiotka i krucha, ale on wiedział, jak bardzo jest silna. Te delikatne ramiona potrafiły utrzymać na wodzy rozhukanego ogiera. Piersi miała cudownie idealne - duże i ciężkie, zwieńczone aureolami o ton zaledwie ciemniejszymi od jaśniutkiej skóry. Bładoróżowe, drobne sutki sterczały wyzywająco. Jej ciało czekało na niego, błagało o jego dotyk... usta, nabrzmięte od pocałunków, żarliwie szeptały jego imię, a te wspaniałe piersi falowały, unoszone przyspieszonym oddechem.

Ujął w dłonie gorące, miękkie półkule, ukrył twarz w zagłębieniu między nimi, ciesząc się jedwabistą gładkością jej skóry, wdychając słodki, upojny zapach. Kiedy odnalazł wargami sutek, usłyszał cichy, zmysłowy jęk. Liz wplotła palce w jego włosy, gwałtownym, zaborczym gestem przycisnęła jego głowę do siebie, domagając się, by nie przerywał pieszczoty.

Nie miał takiego zamiaru. Nie nasycił się jeszcze jej smakiem i nie sądził, by to było w ogóle możliwe, nawet gdyby miał kochać się z nią co noc przez najbliższe pięćdziesiąt lat. Smakowała słodko jak sama czułość i intrygująco jak rozkoszna tajemnica.

Zadrzała znowu, kiedy położył dłonie na jej talii i, odgadując jego intencje, uniosła się, żeby mógł rozebrać ją do końca. Zrobił to płynnym, nieznacznie powolnym ruchem, obnażając ją milimetr po milimetrze. Kobięcy, zmysłowy łuk bioder. Paseczek złocistych kędziorków w złączeniu smukłych białych ud. Nogi długie i zgrabne jak marzenie. Objął dłońmi jej krągłe, jędrne pośladki, przylgnął ustami do wrażliwej skóry poniżej pępka. Zapach jej podniecenia budził w nim szaleństwo. Gdy przesunął usta niżej, zadrzała i zachwiała się na nogach. Podtrzymał ją, obejmując mocniej pośladki, rozchylając szerzej jej uda. Westchnęła i wczepiła się palcami w jego ramiona. Przycisnął ją jeszcze bardziej do siebie, przykrył ustami i wniknął językiem. Była cudownie miękka, wilgotna i gorąca.

Dłużej zwlekać już nie mógł. Porwał ją w ramiona i rzucił na łóżko. Przez chwilę stał nad nią, nieruchomy, ciemny, i patrzył, jak leży na jego łóżku naga i świetlista. Elizabeth Fane, dziewczyna, która zauroczyła go, gdy była nieśmiałą, dziecinną piętnastolatką, teraz wyglądała jak pogańska bogini. Płomiennorude włosy, rozsypane na tle czarnej pościeli, wieńczyły jej kształtną głowę niczym baśniowa, fantastyczna korona. Kim była dorosła Elizabeth? Podstępna oszustką? Czy wyniosłą, zimną arystokratką, która pogardzała gorzej urodzonymi? Obie te możliwości wydawały mu się coraz mniej prawdopodobne. Kim więc była? Może nigdy nie pozna jej sekretów, ale, niech go diabli, za moment pozna ją. Tak dogłębnie, jak tylko mężczyzna może poznać kobietę... Wciąż w nią wpatrzony, zerwał z siebie koszulę, ale kiedy sięgnął do zapięcia spodni, ona uniosła się na kolana i delikatnie, ale stanowczo odsunęła jego ręce. Nie oponował, kiedy sama rozpięła mu pasek i rozsunęła suwak. Kąciki jej ust uniosły się w szczęśliwym uśmiechu, jak gdyby odpakowywała z dawna wyczekiwany prezent.

Gdy stanął przed nią nagi, z wrażenia aż westchnęła. Ten prezent... okazał się jeszcze wspanialszy, niż to sobie wyśniła. Odszukała wzrokiem jego spojrzenie i upadła na wznak, wyciągając ku niemu ramiona nagłym, niemal rozkazującym gestem. Usłyszał i pochylił się nad nią, a ona uniosła biodra i oplotła go nogami, mocno i pewnie, nie pozostawiając mu najmniejszych wątpliwości. Pragnęła go. I była gotowa. W następnej chwili poczuła na sobie ciężar jego ciała. Wyprężyła się, gdy jego męskość odnalazła drogę do jej ciasnego wnętrza, pulsującego gorącą tęsknotą.

- Chico, kocham cię - wyszeptała bezgłośnie, w uniesieniu, wtulając twarz w jego pierś. W tej samej chwili on wdarł się w nią jednym zdecydowanym pchnięciem, rozrywając cieniutką zasłonę, chroniącą jej niewinność. Przyjęła go z zachwytem, euforia sprawiła, że prawie nie poczuła bólu. Wiedziała z instynktowną pewnością, że

w jego ramionach jest całkowicie bezpieczna; Chico nigdy nie zrobiłby jej krzywdy.

Kiedy zamarł, wyraźnie skonsternowany tym, co się właśnie stało, poruszyła biodrami, dopasowując się do niego, narzucając rytm.

- Liz, czy... - zaczął, ale zamknęła mu usta pocałunkiem. Kiedy poczuł, jak wbija paznokcie w jego plecy, poddał się. Kochał się z nią tak powoli i delikatnie, jak tylko potrafił, ale ona chciała więcej. Wciąż trzymając jego biodra w mocnym uścisku, stopą odnalazła jego pośladki, przycisnęła mocno, sugestywnie. Zatracił się w niej. Posłuszny pierwotnemu rytmowi, wbijał się w jej miękkie, prężne wnętrza coraz mocniej, coraz szybciej. Wychodziła mu naprzeciw zmysłowymi ruchami bioder, a półmrok i ciszę sypialni wypełniały ich gorączkowe westchnienia. Poczuł na swoim ramieniu dotyk jej drżących warg, draśnięcie zębów. W tym samym momencie wyprężyła się, targnęła potężnie, a jej zęby zacisnęły się mocniej na napiętym mięśniu jego barku. Szaleństwo skumulowało się w nim, eksplodowało w jego lędźwiach. Rozkosz odnalazła ich w tym samym momencie, spełnienie przetoczyło się przez nich niczym nawałnica, odbierając im siły, pozostawiając bez tchu. Długo jeszcze leżeli bez ruchu, nadzy i spoceni, obejmując się bezwładnymi ramionami. Milczeli. Żadne z nich nie potrafiło znaleźć właściwych słów, żeby nazwać to, czego przed chwilą doświadczyli. Jednego byli pewni - przeżycie o takiej mocy zjednoczyło ich ściślej niż wszystko, co mogliby sobie powiedzieć.

- A więc jednak czekałaś na mnie - odezwał się wreszcie Chico, całując kącik jej ust.

- Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam - uśmiechnęła się leniwie. Czowała się tak błogo, że przeszłość wydała jej się nagle mało ważna. Wspomnienia nie bolały już; kiedy leżała w ramionach Chica, żadne cierpienie nie mogło jej dosięgnąć. - Dlaczego miałabym czekać na faceta, który zwodził mnie pięknymi obietnicami, a potem zniknął bez słowa? - wymruczała, muskając wargami jego policzek, szorstki od wieczornego zarostu.

- Jak to, bez słowa? - Gwałtownie uniósł się na łokciu i zmarszczył brwi. - Pisałem do ciebie. Jak maniak wysyłałem list za listem. W sumie napisałem ich równo dwadzieścia jeden. Nie odpowiedziałaś na żaden, więc w końcu... zabrakło mi weny.

W milczeniu pokręciła głową. Nie miała pojęcia, o czym mówił.

- Żadnego listu nie dostałam - powiedziała bezradnie. - Ale jakie to ma teraz znaczenie?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo przez uchylone okno dobiegły podniesione głosy. Ktoś zbliżał się ku domowi, ktoś nawoływał, ale muzyka uniemożliwiała zrozumienie słów.

- Szukają nas... - Liz usiadła prosto, osłaniając się narzutą, nasłuchując w napięciu. - Szukają ciebie - poprawiła się zaraz. On był właścicielem wielkiego rancza, bogaczem, słynnym na cały świat instruktorem polo, a ona... zaledwie jego studentką. Nie sądziła, by mogła być komuś pilnie potrzebna w jakiejkolwiek sprawie.

- Sprawdź, co się dzieje. - Chico wstał, sięgnął po ubranie. - Nie musisz od razu stąd wychodzić - rzucił od progu. Nawet jeśli przed chwilą przeżył chwilę uniesienia w jej ramionach, teraz zachowywał się dokładnie tak, jak zawsze: chłodno, rzeczowo, niemal obojętnie. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli chwilę zaczekasz.

Liz zacisnęła palce na miękkim materiale narzuty, mocno, niemal konwulsyjnie.

Nie pomogło. Nie mogła nic poradzić na to, że słowa Chica ubodły ją do żywego. Nie było sensu się oszukiwać - Chico Fernandez nie chciał, by ktokolwiek się domyślił, że byli razem. Krótko mówiąc, wstydział się jej. A ona, głupia, wyznała mu miłość. Całe szczęście, że tego nie słyszał. Straciła złudzenia, ale godność mogła jeszcze zachować.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Liz! Odezwij się! Hej, czy ktoś widział Elizabeth Fane? Mam dla niej ważną wiadomość!

Głosy przybliżyły się i można teraz było bez trudu rozpoznać nieco schrypnięty mezzosopran Danny i wtórujący mu baryton Tiaga. Liz podniosła się z łóżka i z godnością sięgnęła po ubranie.

- Wygląda na to, że to jednak ja wyjdę pierwsza. - Przeczesła włosy palcami i wygładziła sukienkę. - A ty, rzecz jasna, możesz poczekać tutaj tyle czasu, ile uznasz za stosowne. Mnie to obojętne.

Nie dała mu czasu na odpowiedź. Zbiegła po schodach na parter i już po chwili była przed domem. Chłód nocy ogarnął ją nagle, sprawił, że zadrżała.

- Liz? - Danny aż podskoczyła, kiedy drzwi starego domu otworzyły się z impetem i jej przyjaciółka wypadła na dwór, pozwalając, żeby ciężkie drewniane odrzwia zatrzasnęły się za nią z hukiem. - Co ty tutaj...

Danny urwała i zrobiła wielkie oczy. Najwyraźniej właśnie dodała dwa do dwóch.

- Ty i Chico...?

- Proszę cię, nic nie mów. - Liz odwróciła wzrok. - Zachowałam się jak ostatnia idiotka.

- Powiedz tylko: tak czy nie? - Danny chwyciła Liz za rękę i zajrzała jej w oczy. Tiago dowiódł, że posiada o wiele więcej subtelności, niż na to wyglądał, bo wycofał się bez słowa, unosząc dłonie i posyłając blondynce krzepiący uśmiech.

- Tak - westchnęła Liz, kiedy zostały same. - I powiem ci, że to nie był dobry pomysł.

- Przestań, jestem pewna, że było bosko. - Niebieskie oczy przyjaciółki zamigotały filuternie.

- Było. - Liz zarumieniła się jak piwonia. - Ale nie o to chodzi...

- Ależ właśnie o to chodzi - odparła Danny z mocą. - Przeżyłaś piękną chwilę i nikt ci jej nie odbierze. Ciesz się tym. Zwłaszcza, że... mam dla ciebie niewesołe wieści.

- Co się stało? - Liz poczuła zimny dreszcz. Danny nie sprawiała już wrażenia rozbawionej. Współczucie w jej głosie było bardzo, ale to bardzo niepokojące. Coś się musiało stać. Coś złego.

- O co chodzi, Danny? Dlaczego mnie szukałaś?

- Liz... - Przyjaciółka ujęła ją za ramiona i uściśnęła krzepiąco. - Telefonowała Anna, gospodyni z Rottingdean. Nie odbierałaś komórki, więc dodzwoniła się na tujszy numer stacjonarny. Maria próbowała cię znaleźć, a potem poprosiła mnie do aparatu.

- Anna? Po co dzwoniła? - Niepokój zamienił się w prawdziwy strach. - O mój Boże. Babcia. Co z moją babcią?

- Tak mi przykro, kochana. Lady Catherine trafiła do szpitala.

- Anna powiedziała ci, jakie jest rozpoznanie? Co mówią lekarze? - Liz starała się zachować spokój. Lady Catherine osiągnęła piękny wiek osiemdziesięciu lat, pogorszenie się jej zdrowia było naturalną kolejną rzeczą. Tyle że Liz nie czuła się na to gotowa. Absolutnie nie. Babcia była fundamentem jej świata, jedyną stałą wartością w chaosie, który ją otaczał. Gdyby jej zabrakło... zostałaby sama jak palec. Byłaby kompletnie zgubiona.

- Niczego jeszcze nie wiadomo na pewno, ale to chyba był rozległy zawał. Lekarz prowadzący czeka na wyniki badań. Kiedy lady Catherine odzyska przytomność...

- Jest nieprzytomna? - jęknęła Liz. Przerazenie chwyciło ją za gardło lodowatym, żelaznym uściskiem.

Musiała natychmiast wracać do Szkocji, żeby czuwać przy Catherine. Tam było jej miejsce. Każda chwila spędzona z daleka od babci była jak głąz przygniatający jej serce.

- Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego - wyszeptała Danny, wciąż trzymając Liz w objęciach. - Rottingdean ma zostać zlicytowane. Po ostatnich podwyżkach cen energii posiadłość stała się niewypłacalna, popadła w długi. Lady Catherine znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Wizyta komornika to było więcej, niż mogła znieść. Dostała ataku, straciła przytomność...

- Co? Co takiego? - Liz zachwiała się i ciężko oparła o zimną ścianę budynku. Nie poczuła chłodu. Szok sprawił, że nie czuła niczego. - Dlaczego Anna nie zawiadomiła mnie wcześniej? Wiedziałam, że Rottingdean ma kłopoty, ale nie miałam pojęcia, że idzie na dno tak szybko.

- Lady Catherine przykazała jej, żeby pod żadnym pozorem niczego ci nie mówiła. Nie chciała, żebyś się denerwowała. Zresztą, co mogłabyś zrobić? Masz parę milionów na zbyciu, żeby spłacić długi?

Liz potrząsnęła głową.

- Mogę zrobić jedno. Dziś jeszcze wracam do Szkocji. Niech mnie piekło pochłonie, jeśli zostanę tu choć chwilę dłużej, kiedy moja babcia leży w szpitalu, a mojemu domowi grozi, że trafi w obce ręce. Muszę jak najszybciej porozmawiać z urzędnikami. Nie wierzę, po prostu nie wierzę, że nie da się nic zrobić, żeby uratować posiadłość. Na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie.

- Zaczekaj, nie tak prędko. - Danny ujęła rękę Liz w swoje dłonie i aż się przestraszyła. Palce przyjaciółki były lodowate i sztywne, jak gdyby straciła w nich czucie. - Przemyślmy wszystko na spokojnie. Został nam jeszcze tylko tydzień kursu, a plotka głosi, że dostaniesz dyplom z wyróżnieniem. Jeżeli teraz wyjedziesz, przekreślisz wszystko. A jeśli poczekaś tydzień i wyjedziesz z dyplomem, będziesz miała zapewnioną pozycję w zawodzie... Czy twoi rodzice nie mogliby jakoś zażegnać tego kryzysu, choćby do chwili, kiedy ukończysz szkolenie?

- Już widzę, jak to robią. - Liz uśmiechnęła się gorzko. - Przez ostatnich dwanaście lat żadne z nich nie zainteresowało się losem rodziny. Nie sądzę, by nagle przeszli cudowną przemianę. Jeśli poczekać tydzień... być może okaże się, że Rottingdean ma już nowego właściciela, a babcia - głos się jej załamał - kto wie, jak poważny jest jej stan? I ile jeszcze czasu jej pozostało? Co mi po dyplomie, jeśli miałabym stracić wszystko, co kocham?

- Elizabeth, proszę cię, nie desperuj. Zastanówmy się razem...

- Nie. - Wyrwała rękę z dłoni przyjaciółki, gestem o wiele bardziej gwałtownym, niż chciała. - Przepraszam cię, Danny, ale muszę teraz być sama.

- Rozumiem, oczywiście. - Przyjaciółka pokiwała poważnie głową. - Jeśli tylko będziesz potrzebowała czegokolwiek, wiesz, gdzie mnie szukać. Wal jak w dym.

- Dzięki, kochana. - Liz posłała jej drżący uśmiech, odwróciła się i zniknęła w ciemności.

Co miała teraz robić? Jak zorganizować sobie podróż przez pół świata, skoro zbliżała się północ, a ona była na ranczu pośrodku pustkowia? Zrozpaczona, kompletnie zagubiona, ruszyła przed siebie, bezwiednie kierując się tam, gdzie zawsze się udawała w chwilach rozterki - do stajni. Przechodząc obok kantyny zatrzymała się. Orkiestra grała właśnie dynamiczną, pełną werwy czaczę, i parkiet pełen był wirujących par. Liz odniosła wrażenie, że kątem oka dostrzega Chica, obejmującego rozkołysaną kibić seksownej brunetki... i wybuchnęła płaczem.

To było więcej, niż mogła znieść. Zaczęła biec, jak gdyby chciała uciec przed tym obrazem, ale daremnie - czuła się tak, jak gdyby ktoś wyrył go w jej sercu tępym ostrzem. Marzyła teraz tylko o jednym - żeby przytulić się do ciepłego, mocarnego karku Villema i wypłakać cały ten nieznośny, dławiący ból.

- Elizabeth? Elizabeth Fane? - Ktoś położył rękę na jej ramieniu, kiedy, oślepiona łzami, niezdarnie usiłowała otworzyć wielkie podwójne wrota stajni.

Maria, gospodyni rancza, słysząc stłumiony szloch dziewczyny z troską zmarszczyła brwi, a potem bezceremonialnie obróciła ją ku sobie i bez słowa przytuliła do swojej bujnej, matczynej piersi.

- Co się stało, moja droga? - spytała po prostu, nie bawiąc się w formalności.

- Dowiedziałam się, że moja babcia ciężko zachorowała - wyjąkała Liz przez łzy. - Zabrali ją do szpitala. Babcia poza mną nie ma nikogo na świecie. Muszę być przy niej. Powinnam jak najszybciej wyjechać...

- Dobrze, już dobrze. Nie płacz, dziecinko. - Maria kołysała ją łagodnie, kojąco, nic sobie nie robiąc z faktu, że kursantka Fane od dawna już jest pełnoletnia. - Jeżeli naprawdę jesteś zdecydowana jechać, zorganizujemy to. Chico...

- Nie! Nie chcę, żeby Chico o tym wiedział! - Liz wyprostowała się gwałtownie. - To znaczy, nie chcę mu przeszkadzać - zreflektowała się w następnej chwili.

Maria przyjrzała jej się uważnie. Jej bystre, ciemne oczy dostrzegały... zdecydowanie za dużo.

- Rozumiem - powiedziała z namysłem. - Jeżeli dasz radę spakować się w pół godziny, transport do Europy masz w zasadzie załatwiony.

- Jak to...? - Liz nie wierzyła własnym uszom.

- Wysyłamy dwa konie na targi do Akwizgranu. Samolot jest już przygotowany, odlatuje za niecałą godzinę. Jeżeli obiecasz obsłudze, że pomożesz zająć się ogierami, będą szczęśliwi, zabierając cię na pokład. Jeszcze dziś, za dnia, wylądujesz w Niemczech, złapiesz samolot albo pociąg przez tunel. Nie minie doba, a będziesz przy babci.

- Dziękuję! - Liz, niewiele myśląc, rzuciła się Marii na szyję.

- Nie ma za co. - Gospodyni uścisnęła ją krzepko. - Życzę twojej babci zdrowia, a tobie powodzenia, dziecinko. Podjęłaś słuszną decyzję. Są takie chwile w życiu, kiedy widzimy czarno na białym, co jest najważniejsze.

Liz uniosła głowę i otarła łzy. Nie będzie już płakać. Teraz przyszedł czas działania.

Rottingdean przywitało ją znajomym krajobrazem, tak drogim jej sercu, jak rozpostarte ramiona najlepszego przyjaciela. Dom był dokładnie taki jak zawsze, solidny i szlachetny, o wysokich kominach, łamanej linii spadzistych dachów, ozdobnych gzymsach i rzędach lśniących, ozdobnie sklepionych okien. Z długich niskich budynków stajni dobiegało rżenie koni.

Słońce przedzierało się przez grubą warstwę chmur, wydobywając z szarości kowrody sadzonych wzdłuż wiejskich dróg wiekowych drzew, o tej porze roku jeszcze bezlistnych. Wiatr niósł zapach wilgotnej ziemi, rozgrzanej pierwszym, ciepłym tchnieniem wiosny.

Elizabeth Fane stanęła w bramie, odetchnęła pełną piersią i uśmiechnęła się wzruszona. A potem ukryła twarz w dłoniach, robiąc wszystko, żeby stłumić szloch. Na samą myśl, że miałyby na zawsze stracić swoje własne miejsce na ziemi, czuła się tak, jak gdyby wyrwano jej serce.

- Elizabeth! Jak to dobrze, że panienka przyjechała! - Hamish, dozorca i mąż Anny, pojawił się w drzwiach stróżówki, zanim jeszcze taksówka, która przywiozła Liz z miasta, zniknęła za zakrętem wąskiej dojazdowej drogi. Wielki i barczysty jak niedźwiedź, rzucił się ku niej radosnym biegiem, a potem bezceremonialnie chwycił ją w objęcia. Liz nie mogła się nie uśmiechnąć, kiedy okręcił ją wokół siebie z taką energią, że pofrunęła.

- Wiem, że panienka się spieszy - postawił ją na ziemi i sięgnął po jej torbę podrózną - ale proszę wstąpić najpierw do nas na filiżankę herbaty. Anna bardzo się ucieszy. Stęskniła się... oboje stęskniliśmy się za panienką.

Anna i Hamish mieszkali w bocznym skrzydle wielkiego domu. Dozorca ruszył przodem, a Liz, chcąc nie chcąc, podreptała za nim. Prawda była taka, że i ona stęskniła się za tą uroczą starszą parą. Ileż razy wyobrażała sobie swój powrót do domu? Ten moment, kiedy stanie w progu i pozwoli, żeby ogarnęło ją żywe ciepło kominka, zaciągnie się cudowną wonią świeżo upieczonego chleba albo innych specjałów z kuchni Anny... Niezliczoną ilość razy. Marzyła o tym co wieczór, układając się do snu w zbyt głośnym, zbyt ciasnym pokoju w akademiku. Mówiła sobie, że każdy dzień zbliża ją do realizacji marzeń.

Czy mogła przypuścić, że powróci tutaj tylko po to, żeby być naocznym świadkiem zagłady domu Fane'ów?

- Liz, dziecinko! - Gospodyni rzuciła się ku niej, furkocząc fartuchem. - Dobrze, że wróciłaś! Co my teraz zrobimy? Co z nami będzie?

Kiedy drobniutka Anna rzuciła jej się na szyję, Liz w milczeniu objęła ją ramionami. Powiedziała sobie twardo, że się nie rozpłaczę. Ci ludzie potrzebowali jej siły, jej spokoju. Kto wie, może będzie mogła coś jeszcze dla nich zrobić?

- Wróciłam - powiedziała z mocą. - I nigdzie się stąd nie ruszę. Jestem pewna, że uda nam się znaleźć jakiś wyjście z tego galimatiasu.

- Oby! - podchwyciła gorąco Anna. - Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, pamiętaj, że możesz na nas liczyć.

- Oczywiście - zdołała się uśmiechnąć. - Oczywiście, że będę pamiętać.

Gdyby czegokolwiek potrzebowała? Prawda była taka, że aby uratować Rottingdean, potrzebowała cudu. Kiedy tylko znalazła się sama, sięgnęła po telefon. Coś jej kazało zadzwonić do rodziców. Sama nie wiedziała, czy to nadzieja na cud, czy zwykła, głupia naiwność.

- Halo, słucham? - Matka odebrała po ośmiu sygnałach. Jej zniecierpliwiony ton bynajmniej nie zachęcał do rozmowy.

- Mamo... - zaczęła Liz i głos się jej załamał. - Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że babcia jest w szpitalu. Jeszcze u niej nie byłam, ale dowiedziałam się, że jej stan jest poważny. Nie wiadomo... czy... przeżyje.

- A co mnie to obchodzi? - Śmiech Sereny brzmiał jak kaszel osoby z paskudną chorobą płuc. - Stara wrona już dawno wykreśliła mnie z testamentu. Jeżeli ruszy ją sumienie i zechce mi zapisać którąś ze swoich brylantowych kolii, liczę, że dasz mi znać. A na razie nie zwracaj mi głowy, mam ciekawsze rzeczy do roboty niż słuchanie doniesień z oddziału geriatrycznego.

- Nie licz na to, że babcia cokolwiek ci zapisze. Rottingdean będzie zlicytowane. Razem ze wszystkimi ruchomościami - powiedziała Liz gorzko. Nie miała pojęcia, dlaczego w ogóle ciągnie tę rozmowę.

- No i bardzo dobrze! - W głosie matki zabrzmiała mściwa radość. - Przestaniecie wreszcie zadzierać nosa. Ciekawa jestem, gdzie ty się podziejesz, kiedy Rottingdean pójdzie pod młotek?

- Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam - przyznała Liz słabo.

- Tylko nie próbuj zwalić się do mnie - zaniepokoiła się nagle Serena. - Wiesz, ile lat ma mój obecny facet?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

- Niewiele więcej niż ty! - Serena nie dała sobie przerwać. - Zgodzisz się chyba ze mną, że byłoby wielce niefortunne, gdyby się dowiedział, że mam córkę, której za kilka lat stuknie trzydziestka.

- Nie bój się, mamo, nie zamierzam zakłócić ci sielanki. - Liz zakończyła połączenie i, uśmiechając się krzywo, wybrała numer ojca. Nie miała specjalnej nadziei, że ta rozmowa potoczy się choć trochę lepiej.

- Nie wiedziałem, że z Catherine jest tak źle. - Ojciec wydawał się szczerze przejęty. - Dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś. Jesteś dobrą córką i wnuczką, Elizabeth. Rozumiem, że zamierzasz czuwać przy babci?

- Tak. - Liz przełknęła łzy. - Tato, proszę cię, przyjedź. Nie chcę być... sama.

- Bądźmy rozsądni, Liz. - W głosie ojca pojawiła się chłodna nuta. - Jestem pewien, że poradzisz sobie znakomicie. Tylko pamiętaj, dopilnuj babci, kiedy będzie pisała testament. Catherine, jak oboje wiemy, jest niestety niezrównoważona. Chodzi o to, żeby nie zrobiła głupstwa. Najlepiej niech wszystko przepisze na mnie...

- W porządku, tato. - Zapomniała o łzach. Nie miała nawet siły, żeby się złościć. Jej rodzice byli... cóż, byli po prostu tym, kim byli. Naprawdę nie należało spodziewać się po nich cudów. - Dopilnuję babci.

- Zuch dziewczyna... - Artur mówił coś jeszcze, ale Liz nie była ciekawa. Rozłączyła się i wepchnęła telefon do kieszeni. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy: była

sama i mogła liczyć tylko na siebie. Marzenia o rodzinnym pojednaniu prysły, tak samo jak te o szczęśliwej miłości.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Droga do szpitala nie była długa; niecałe pięćdziesiąt kilometrów, trochę ponad pół godziny spokojnej jazdy samochodem. Liz miała jednak wrażenie, że podróż trwa całą wieczność. Zaparkowała koślawo na szpitalnym parkingu, kluczyki wypadły jej z rąk, kiedy zamykała samochód, i omal się nie przewróciła, wbiegając na schody. Uspokoiała się dopiero, kiedy stanęła w drzwiach jednoosobowej sali, gdzie leżała Catherine Fane.

Babcia odzyskała już przytomność. Chociaż jej twarz była niemal równie biała jak poduszka, a ciało bezwładne i niepokojąco wychudzone, uśmiech miała dziarski i pełen werwy. Tak jak zawsze.

Na widok wnuczki Catherine rozpromieniła się wyraźnie, a potem, jak to ona, srogo zmarszczyła brwi.

- Elizabeth! Co ty tutaj robisz? Dlaczego nie jesteś na szkoleniu? - odezwała się bez wstępów.

Liz opadła na fotel stojący obok wezglowia szpitalnego łóżka, tłumiąc westchnienie ulgi. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo tęskni za babcią, za jej surowym spojrzeniem i groźnym tonem, którym bezskutecznie usiłowała maskować czułość.

Jestem w domu, pomyślała ze wzruszeniem, i wdzięczność zalała jej serce.

Co znaczyła utrata majątku wobec tego, że babcia żyła i miała się lepiej?

- Przyjechałam, żeby sprawdzić, czy stosujesz się do poleceń lekarzy - odpowiedziała, podejmując grę. - Założę się, że nie mają tu z tobą lekkiego życia.

- Dobrze, że jesteś. - Catherine spoważniała. - Zanim odbędzie się licytacja, musisz zadbać o kilka spraw, bo doktorzy uparli się, żeby mnie tu trzymać jeszcze jakiś czas.

- Babciu, czy tej licytacji naprawdę nie można uniknąć? - Liz nerwowo splotła palce i zacisnęła tak mocno, że pobieleły. - Rozumiem, że Rottingdean jest zadłużone, ale może wystarczyłoby sprzedać część ziemi albo znaleźć dzierżawcę, który zgodziłby się spłacić długi w zamian za możliwość użytkowania terenu i koni? Może na przykład Chico Fernandez byłby zainteresowany...

Dlaczego pomyślała o Chicu? Dlaczego w chwili, kiedy jej byt był zagrożony, myśl o jego spokoju i sile przyniosła jej tak wielką otuchę? Och, gdyby naprawdę mogła liczyć na to, że gdy będzie go potrzebowała, on stanie u jej boku, to na zawsze zapomniałaby o troskach. I już nigdy, niczego by się nie bała.

- Fernandez? Zapomnij. - Babcia zdecydowanie pokręciła głową, rozwiewając jej złudzenia. - Chico to dobry człowiek i myślę, że gdybyśmy zwróciły się do niego o pomoc, nie odmówiłby, ale nie zrobimy tego. Obydwie należymy do rodziny Fane, a Chico Fernandez dość już od Fane'ów wycierpiał.

- Wycierpiał? Nie rozumiem. - Liz przygryzła wargę, czując, że przenika ją lodowaty dreszcz niepokoju. Od tak dawna zachodziła w głowę, dlaczego Chico wyje-

chał bez słowa i przez dwanaście lat milczał, że w końcu wmówiła sobie, że zna odpowiedź. Czyżby właśnie teraz przyszedł moment, w którym miała poznać prawdę?

- Długo łudziłam się nadzieją, że będzie można pominąć tę wstydliwą sprawę milczeniem - ciągnęła Catherine, poprawiając się na poduszkach - ale kiedy okazało się, że los znowu was ze sobą zetknął, bo dostałaś stypendium na wyjazd do Brazylii, wiedziałam, że prędzej czy później będę musiała o wszystkim ci powiedzieć.

- Ja też myślę, że najwyższy czas, bym poznała prawdę. - Liz uśmiechnęła się, ale jej głos drżał z napięcia. Co takiego wydarzyło się dwanaście lat temu?

- Jak wiesz, nie mieszkałam wtedy w Rottingdean. Mój niepoprawny synalek urządził ciągle libacje, a Serena, cóż, nieco się nudziła na zapadłej wsi. Wizyta brazylijskiej drużyny polo spadła jej jak z nieba. Młodzi, przystojni, krzepcy i chętni do zabawy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Już wtedy wiedziałam - skrzywiła się Liz. - Nie byłam dzieckiem.

- Ależ byłaś - uśmiechnęła się Catherine. - Chico też był na tyle młody i niezepsuty, że nie czuł najmniejszego zainteresowania tym, co wieczorami odbywało się w rezydencji. Aż wreszcie pewnego dnia... moja synowa uznała, że ma ochotę na, jak się wyraziła, „świeże mięsko”. Brazylijczycy byli na tyle niefrasobliwi, że zwabili Chica do salonu, gdzie odbywała się zabawa... Rozochociona Serena rzuciła się na niego, a wszyscy uczestnicy zabawy, w tym mój synalek, sekundowali jej z wielkim entuzjazmem. Wstyd powiedzieć, ale pomysł był taki, że Serena wprowadzi młodego Chica w świat rozrywek dla dorosłych, a reszta towarzystwa będzie miała widowisko... Tak, to, co przeżył tego wieczora Chico Fernandez, śmiało można nazwać molestowaniem. Tym bardziej, że nie miał najmniejszej ochoty na tego typu zabawę. Odrzucił awanse Sereny i zrobił to w sposób, hm, dość obcesowy. Poczuli się upokorzona i postanowiła się zemścić, więc oskarżyła Chica o gwałt.

- Co takiego?! - prychnęła Liz.

- Teraz to brzmi groteskowo, ale uwierz mi, Chicowi nie było wtedy do śmiechu. Serena namówiła Artura, żeby poparł jej wersję. Podejrzewam, że nie miała z tym trudności, bo w mojego wiecznie pijanego synalka mogła wmówić wszystko, co tylko chciała, a on świącie jej wierzył. Kolegów z drużyny polo obleciał strach, więc wykręcili się, mówiąc, że niczego nie widzieli ani nie słyszeli. Serena oświadczyła, że zamierza wezwać policję, żeby wnieść oficjalne oskarżenie. Jeśliby do tego doszło, byłoby jej słowo przeciwko słowu Fernandez. Ona była arystokratką, a on chłopakiem ze slumsów. Jak myślisz, komu dano by wiarę?

- Wiadomo, komu.

- No właśnie. Chicowi groziły duże nieprzyjemności. Któryś z chłopaków z drużyny zawiadomił o wszystkim trenera Corteza, a ten podjął się mediacji. Serena nie jest głupia, od razu zwąchała okazję do zrobienia interesu i powiedziała, że owszem, wycofa oskarżenie, pod warunkiem, że dostanie odpowiednią sumę, jako wynagrodzenie za straty moralne. Wtedy Eduardo zwrócił się do mnie o pomoc. Błyskawicznie zorganizowaliśmy ewakuację młodego Fernandez. Nie minęła godzina, a Chico siedział już w samolocie lecącym za ocean. Serena zrezygnowała z oskarżeń i prób wyłudzenia pieniędzy, bo jej „prześladowca” znikł jak kamfora, a przy obdukcji lekarskiej wołała się nie upierać. Chociaż Eduardo wiedział, że Chico jest absolutnie niewinny, nie mógł nic poradzić na plotki, które Serena z czystej mściwości

rozpuszczała w międzynarodowym środowisku hippicznym. Nie każdy w nie uwierzył, ale i tak w początkach kariery Chico miał bardzo pod górkę. Szczęśliwie okazało się, że jest nieprzeciętnie utalentowany, ludzie chcieli z nim współpracować niezależnie od jego kontrowersyjnej reputacji. Ale musiały minąć lata, zanim plotki wreszcie na dobre ucichły.

Liz podniosła się z fotela, podeszła do okna, wbiła niewidzący wzrok w daleki horyzont. Mijały sekundy, potem minuty, a ona milczała. Catherine, wyczerpana, opadła na poduszki. W pokoju zapadła ciężka cisza.

- Babciu, nie wiesz, czy po wyjeździe Chica przyszły do Rottingdean jakieś listy, których był nadawcą? - spytała wreszcie, wargami zdrętwiałymi od szoku. Oto puzzle, nad którym od tak dawna na próżno się biedziła, zaczynało się układać w całość. Zachowanie Chica nie było niezrozumiałe. Po prostu dotąd nie miała w rękach wszystkich elementów, by stworzyć spójny obraz.

- Tak, przyszły. - Starsza pani westchnęła ze smutkiem.

- Ach, tak?! Więc dlaczego ich nie dostałam? - Liz zacisnęła dłonie w pięści, zmuszając się, żeby nie podnieść głosu. Gniew buchnął w jej sercu jasnym płomieniem, przesłonił wszystkie inne uczucia. Ktoś świadomie, rozmyślnie pozbawił ją chwil szczęścia, które Chico chciał jej ofiarować. Ktoś uznał, że ma prawo ich rozłączyć, skierować jej życie emocjonalne na boczny tor, skazać na ból rozczarowania i długie lata samotności. Nie mogła uwierzyć, by tym kimś była jej babcia.

- Tak mi przykro, Liz. Gdybym tylko wiedziała o tych listach! Widziałam przecież, jak bardzo tęsknisz za Chikiem, jak gorzko jesteś rozczarowana jego zniknięciem. Ale mijały dni i tygodnie, a on się nie odzywał... myślałam, że po prostu postanowił zapomnieć o Rottingdean i o tym, co się tu wydarzyło. Byłoby to przecież zrozumiałe.

- Owszem, byłoby. - Liz skrzywiła usta. - A jednak Chico pisał do mnie. Co się stało z tymi listami?

- Cóż, przeleżały dwanaście lat, dobrze ukryte w domku pomocnika dozorca. Ten mężczyzna był pod urokiem Sereny i robił wszystko, co mu kazała. Zaledwie przed kilkoma tygodniami wykryłam, że to właśnie on regularnie mnie okradał. Zrobiliśmy u niego kipisz i znaleźliśmy oprócz biżuterii i sreber, których nie zdążył jeszcze przekazać swojej protektorce, właśnie te listy. To cud, że ich po prostu nie spalił. Być może nawet taka szumowina jest w stanie czuć jakiś rodzaj wyrzutów sumienia. Listy leżą w moim gabinecie. To jedna z rzeczy, które musisz zabrać, zanim nasz dom zostanie zlicytowany.

- A więc nie wierzysz, że tej licytacji można uniknąć? - Liz podziwiała babcię za jej opanowanie. Mówiła o utracie rodzinnej posiadłości z takim samym spokojem, z jakim rozmawia się o pogodzie. Gdyby nie fakt, że przepłaciła to ciężką chorobą, trudno byłoby uwierzyć, że wizja licytacji majątku robi na niej jakiegokolwiek wrażenie.

- Nie można. Jeszcze nie powiedziałam ci wszystkiego. Mój syn nie tylko zadłużył Rottingdean, ale też wpadł na genialny pomysł, żeby zaciągnąć pokaźny kredyt pod zastaw hipoteki. Jak myślisz, dlaczego mieszka teraz w willi na Lazurowym Wybrzeżu, a w piwnicy ma tyle alkoholu, że może pić bez przerwy, aż do dnia, gdy przeniesie się na tamten świat? On i Serena okazali się bardziej przebiegli, niż to

przewidziałam. Domyślili się, że w Rottingdean miejsca nie zagrzeją, więc postąpili w myśl zasady „po nas choćby i potop”.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - Liz poczuła pod powieką piekącą falę łez. Czasami naprawdę trudno jej było znieść świadomość, że powołali ją do życia ludzie pokroju Artura i Sereny. W takich momentach czuła szczególną więź z babcią. Miała nadzieję, że odziedziczyła choćby trochę z jej niezłomności i hartu ducha.

- Nie płacz, Elisabeth, nie załamuj się. Drzewo genealogiczne Fane'ów sięga wczesnego średniowiecza. Już nie raz traciliśmy wszystko, często w okolicznościach o wiele gorszych niż obecne. A jednak... wciąż istniejemy i jestem spokojna o naszą przyszłość. Wiem, że poradzisz sobie w życiu.

- Babciu...! - Nie potrafiła zastosować się do polecenia starszej pani. Ze szlochaniem rzuciła się w jej ramiona.

- Dobrze już, dobrze. - Catherine poklepała ją po plecach, szorstko, krzepiąco. - Postaraj się nie połamać mi wszystkich kości, moja droga. Muszę być w formie, żeby zatańczyć na twoim weselu.

Na jakim weselu?! Liz nie miała bladego pojęcia, o co mogło chodzić Catherine. Oby tylko babcia nie zaczynała tracić kontaktu z rzeczywistością... Na żadne wesele się nie zanosilo; ani w najbliższej przyszłości, ani, prawdopodobnie nigdy.

Wracając do Rottingdean, poddała się niewesołym myślom. Co ją czekało? Wygnanie, praca na cudzy rachunek, samotne wieczory w jakimś ciasnym, wynajętym mieszkanku... Nie była to radosna wizja. Liz czuła, że ogarnia ją rozpacz i przerażenie.

Na ratunek przywołała dumę. Była ostatnią z Fane'ów, nie zamierzała dygotać i zalewać się łzami podczas rozmowy z urzędnikiem, który miał przyjechać jeszcze tego samego dnia, żeby omówić z nią formalności związane z licytacją. Postanowiła, że przyjmie go z podniesionym czołem. Do licha, jeśli będzie trzeba, sama poprowadzi tę przeklętą licytację. W końcu ona najlepiej wiedziała, jak ogromną wartość miał jej rodzinny dom.

Jak w transie wysiadła z samochodu, przeszła przez dziedziniec otoczony bukszpanowym żywopłotem. Szerokie kamienne schody prowadziły do głównych drzwi. Elisabeth oczy miała suche, a głowę dumnie uniesioną, gdy przekręcała klucz w dużym staroświeckim zamku. Podwójne rzeźbione drzwi stanęły przed nią otworem.

Po raz ostatni.

Urzędnika przyjęła w gabinecie, ubrana w klasyczny popielaty kostium i uczesana w gładki kok. Chciała włożyć gruby naszyjnik z pereł, ale po zastanowieniu zrezygnowała z tego pomysłu. Ta biżuteria prawdopodobnie nie należała już do niej, podobnie jak zabytkowe książki, dzieła sztuki, czy... konie. Świadomość, że będzie musiała sprzedać konie, bolała najmocniej.

Niewysoki mężczyzna, któremu chyba tylko cudem udało się wbić krępe ciało w sztywny garnitur, doskonale obojętnym wzrokiem omiótł zabytkowe wnętrza.

- Chciałbym panią poinformować, że sytuacja uległa zmianie - wyrecytował, wertując papiery. - Licytacja została odwołana.

- Słucham? - Liz poczuła, że kręci jej się w głowie. Była zbyt wyczerpana, żeby znieść kolejny szok.

- Dziś rano na nasze konto wpłynęła kwota pokrywająca całość zadłużenia. - Urzędnik posłał Elisabeth znudzone spojrzenie człowieka, który marzy tylko o tym, żeby skończyć pracę, wrócić do domu i napić się piwa. - W związku z tym bank odstępuje od roszczeń, prawo własności nieruchomości przechodzi na osobę prywatną...

- Na jaką osobę prywatną? - miała ochotę krzyknąć. - Proszę mi wytłumaczyć, do kogo należy teraz mój dom!

- Nabywca... - Mężczyzna westchnął z rezygnacją, znów zabrał się za wertowanie papierów. - Nabywca zastrzegł sobie anonimowość. Z naszej strony to wszystko, pani Fane. Jestem pewien, że pełnomocnik nabywcy skontaktuje się z panią już jutro. Zazwyczaj dłużnik ma kilka dni na opuszczenie nieruchomości, zabiera tylko rzeczy osobiste i robi to pod nadzorem rzeczoznawcy wyznaczonego przez nowego właściciela.

- Dziękuję - powiedziała Liz słabo. Urzędnik pospieszył do wyjścia. Nie minęło pięć minut, a jego mini morris zniknął w chmurze pyłu za główną bramą. Została sama, na progu domu, który znała od dzieciństwa, z dziwnym poczuciem, że jest tutaj obca.

Miała mało czasu, być może tylko dobę, żeby pożegnać się ze wszystkim, co kochała. I żadnych wątpliwości co do tego, w jaki sposób wykorzystać ten czas. Chwilę później, przebrana w strój do konnej jazdy, wielkimi krokami maszerowała do stajni. Spędzi dzień na włóczędzie po okolicy. Czy istniało coś piękniejszego niż szkockie wzgórza w pierwsze, słoneczne dni jesieni? Liz szczerze w to wątpiła.

Kiedy zapadł zmrok, była wyczerpana i syta wrażeń. Anna podała kolację; usiedli we trójkę przy kominku, nad talerzami aromatycznego gulaszu z pieczonymi ziemniakami. Popijali ciemne piwo i robili wszystko, żeby choć na chwilę uwierzyć, że jest to zwykły wieczór, taki, jakich wiele. Ot, jeszcze jeden schyłek spokojnego dnia w dostatnim domu, w sercu malowniczej, brytyjskiej prowincji...

Nikt nie chciał myśleć o tym, co czeka ich nazajutrz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ostatnia noc w Rottingdean.

Liz, ubrana w miękką flanelową piżamę i obszerny sweter z grubej wełny, wyszła na podwórze. Temperatura spadła do kilku stopni powyżej zera, w krystalicznie czystym powietrzu można było wyczuć delikatną, ciepłą nutę drzewnego dymu. Na czarnym niebie błyszcząły miliardy gwiazd. Ściskając obszerny tłumok, na który składał się solidny, puchowy śpiwór i miękki pled, ruszyła ku zabudowaniom gospodarczym.

Ostatnią noc zamierzała spędzić przy koniach. Na stryszku nad stajnią, tam, gdzie tak bardzo lubiła przesiadywać, gdy była nastolatką. Podejrzewała, że nie zmrzyży oka; skoro miała zmagać się z bezsennością, mogła przynajmniej robić to w swoim ulubionym miejscu. Nie zapaliła światła; konie rżały cicho, przyjaźnie, rozpoznając ją nawet w ciemności, kiedy szła przez stajnię. Wdrapała się na stryszek i ostrożnie zapaliła oliwną lampkę, która stała tu od lat co najmniej dwunastu. Umościła sobie posłanie i wsunęła się do śpiwora. Przez niewielkie połaciowe okno, które znajdowało się nad jej głową, widziała rozgwieżdżone nocne niebo.

Świat pozostawał piękny, nawet jeśli niektórzy jego mieszkańcy przeżywali dramat...

Pomyślała o Chicu, a raczej przestała uciekać od myślenia o nim. Był tak strasznie daleko, i w sensie geograficznym, i każdym innym. Ich wspólna historia mogła być wyjątkowa, ale, cóż, w zderzeniu ze złem i z chaosem, z odwiecznym przekleństwem ciężącym nad ludzkością, nie mieli szans.

Nie było sensu obwiniać kogokolwiek o to, co się stało, nie było sensu chować urazy. Liz postanowiła sobie, że zachowa tylko dobre wspomnienia. Zachowa listy od Chica, wszystkie dwadzieścia jeden. A jeśli miała naprawdę mnóstwo szczęścia, niebawem okaże się, że z Brazylii przywiozła pasażera na gapę... przecież kochała się z Chikiem bez żadnego zabezpieczenia! Przycisnęła dłonie do brzucha i uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Kto wie, może po burzy wyjdzie słońce? Może będzie jeszcze szczęśliwa?

Zagubiona w rozmyślaniach nie zwróciła uwagi na dźwięk zbliżającego się samochodu, tak wyraźny w nocnej ciszy. Dopiero kiedy usłyszała odgłos pospiesznych kroków na podwórzu, wyprostowała się, czujna, nagle podekscytowana.

Ktoś wszedł do stajni, nie zapalając światła, nie robiąc niemal żadnego hałasu. Słyszała, jak szedł korytarzem między boksami... jak wspinał się na schody prowadzące na stryszek. Liz czekała, bez ruchu, bez tchu. Serce miała w gardle.

Wiedziała, kogo za chwilę zobaczy. Wiedziała to z pewnością, która dla niej samej była zaskoczeniem.

Ostatni kawałek układanki, jaką było jej życie, znalazł się na swoim miejscu.

- Chico.

- Elizabeth.

Żadne z nich nie wiedziało, jak długo milczeli. Pozwolili przemawiać swoim dłoniom, niecierpliwie odkrywającym cudowną bliskość ciał. Pozwolili przemawiać przyspieszonym oddechom, stłumionym westchnieniom i pieszczotom ust, a we wszystkim, co powiedzieli sobie bez słów, była prosta, szczęśliwa szczerłość.

- Kupiłeś Rottingdean - wyszeptała wreszcie Liz drżącymi wargami. - Moje gratulacje.

- Nie. To ty je kupiłaś - wymruczał wprost w jej ucho, tuląc ją do piersi. Jutro dowiedziałybyś się, że przelew bankowy został dokonany na twoje nazwisko. To miała być niespodzianka... ale zabrakło mi cierpliwości. Nagle pomyślałem sobie, że nie wiem, za co miałbym się tak karać, żeby spędzić całą noc sam w hotelu, skoro mogę spędzić ją z tobą. Wiedziałem, że cię tu znajdę.

- Dlaczego to zrobiłeś, Chico? - Spojrzała w jego oczy, lśniące tajemniczo w półmroku. - Po wszystkim, co cię spotkało od Fane'ów, nie zdziwiłabym się, gdybyś nie nawidził... tego miejsca.

- W tym miejscu wydarzyło się wiele złych rzeczy, to prawda. - Zmrużył oczy. - Ale jakie to ma znaczenie wobec faktu, że tutaj właśnie odkryłem, czym jest prawdziwe szczęście? Może jestem mało bystry, skoro zrozumienie tego zajęło mi dwanaście lat. Ale zapewniam cię, że mam inne zalety...

- Nigdy nie zdołam ci się odwdzięczyć. - Powoli pokręciła głową, oszołomiona, jak człowiek, który zaczyna rozumieć, że koszmar, który go dręczył, był tylko złym snem.

- Nie chcę twojej wdzięczności. To dla mnie o wiele za mało - powiedział poważnie. Usłyszała w jego głosie zaborczą, niebezpieczną nutę i poczuła dreszcz. Teraz, właśnie w tej chwili, ważył się jej los. Szczęście w życiu nie zależało od genów ani od pieniędzy. Zależało od tego, czy umiała rozpoznać miłość. I odpowiedzieć na nią.

- Przecież wiesz, że cię kocham - powiedziała z prostotą.

- Wiem - przyświadczył. - Wybacz, że tak długo w to wątpiłem.

- Nie musisz prosić mnie o przebaczenie - uśmiechnęła się, łagodnym, szczęśliwym uśmiechem. - Bo ja doskonale wiem, że mnie kochasz. I mogę ci obiecać, że już nigdy w to nie zwątpię.

- Musimy przyjąć zasadę, że od dzisiaj wszelkie nieporozumienia będziemy wyjaśniać od razu, a nie czekać z tym dwanaście lat - oświadczył Chico solennie, ale oczy mu się śmiały.

- Zgadza się.

- A zgodzisz się wyjść za mnie za mąż? Nie zdążyłem jeszcze kupić pierścionka, ale mimo to... bardzo bym chciał już teraz poznać twoją odpowiedź na to pytanie.

- Chico, czyś ty zupełnie oszalał? - Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi, ale jej głos pełen był czułości. - Uratowałeś mój świat. Kupiłeś mi ten dom, te konie, wszystko, co jest drogie mojemu sercu. Naprawdę myślisz, że zależy mi na pierścionku?

- Wiem na pewno, że mi na tym zależy. Będiesz nosiła mój pierścionelek. Ze szmaragdem, pod kolor twoich oczu.

- W porządku. Kiedy już będziesz u jubilera, postaraj się od razu o obrączki. Oczywiście, że za ciebie wyjdę. Im szybciej, tym lepiej.

- Ja też myślę, że im szybciej, tym lepiej. Dość już się naczekaliśmy.

- Jutro powiemy o wszystkim Catherine.

- Tak, a potem wrócimy do Brazylii dokończyć kurs. Nie zapominaj, że oboje jesteśmy teraz na wagarach.

- Dobrze, ale wcześniej pokażę ci nasze młode konie. W zeszłym roku urodziło się kilka naprawdę obiecujących źrebiąt...

Rozmawiali długo, gorączkowo, o wszystkim i o niczym. Radość, tak niezwykła i tak naturalna jak wschód słońca po długiej nocy lśniła w ich oczach, sprawiała, że nie mogli przestać się śmiać. Kiedy wreszcie poczuli zmęczenie, wtulili się w siebie i odpłynęli w rozkoszny niebyt, a do snu ukołysała ich czułość - ich wspólne, nowe, cudowne odkrycie.

Kiedy o szóstej rano niebo rozjaśnił brzask, Anna wyszła przed dom. Zobaczyła samochód z obcymi rejestracjami zaparkowany pod drzwiami stajni i uśmiechnęła się do siebie z satysfakcją, a potem wyjęła z kieszeni telefon komórkowy.

- Halo? Maria? Misja się powiodła. Wygląda na to, że twój chłopak i nasza dziewczyna wreszcie się dogadali. Myślę, że czas zacząć planować wyprawkę dla ich pierworodnego...

Tytuł oryginału: In the Brazilian's Debt
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2015
Redaktor serii: Marzena Cieśla
Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla
Korekta: Anna Jabłońska

© 2015 by Susan Stephens
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2016

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Światowe Życie Ekstra są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-2517-5

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Strona redakcyjna